



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

Wc wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

U KATAFALKU

w Kościele Ś-go Krzyża.

Zadzwoniły mu żałobne dzwony!
Zaspiewali mu żałobne pieśni!
Tłum zaszlochał, jakby brat rodzony,
Echa murów zalkały boleśnie.
Bo mistrz dobry odszedł nas daleko:
Pod trumienne położył się wieko....

A śmierć przyszła nagła i okrutna,
Wzięła starca w obcej, cudzej stronie.
Jak w nim dusza musiała być smutna,
Jak wyciągać musiał drżące dłonie,
Ku tej swojej rodzinnej krainie,
Gdzie leż tyle teraz po nim płynię!...

Ale cicho, duchu rozżalony!
Spokój wieczny niech ci się nie kłóci.
Dzwigniem trumnę wiernymi ramiony,
I twój drogi proch do nas powróci;
W jakiejś pańskiej świątyni cię złożą,
Byś tam cicho legł pod Męką Bożą.

Do grobowca z garstką twych popiołów
Będzie ludzi ciągnęła tęsknota;
Będą szukać tam owych aniołów,
Którzy byli z tobą za żywota.
Co się zwali miłością i wiarą,
I trzeciego—z harfą w ręku starą!

Po natchnieniu poezji rodzimej
Do mogiły twjej będą iść rzesze;
Z chat poleskich błękitnymi dymy,
Z stadem wróblí na poleskiej strzesze,
Tak im cały nasz świat w oczach stanie,
Jak tyś dał mu sztuki wieczne trwanie.

I w ojczystym naszym panteonie
Tuż przy stopach Mickiewicza siedziesz;
On ci głowę da wesprzeć na łonie,
I złączony tak z nim przez to będziesz,
Żeś z naszego złota i kryształu,
Jak on—wznosił twój gmach ideału. ..

M. Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Jeden i tensam temat uparcie wraca na myśl i pod pióro od czasu nadejścia żałobnej wieści z Genewy; tak trudno uwierzyć rzeczywistości, tak boleśnie przyzwyczaić się do tego faktu, że śmierć zabrała Go niepowrotnie, że już tylko jako nieboszczykiem zajmować się nim będziemy!...

W metalowej trumnie, na białym atlasie, pokryte wieńcami i kwiatami leżą martwe zwłoki wielkiego starca w kaplicy pogrzebowej na cmentarzu genewskim, gdzie je tymczasowo umieszczono, zanim ostatecznie rozstrzygnie się sprawa pochowania nieboszczyka.

Przeznaczają mu miejsce w grobie zasłużonych na Skałce. Kraków chce mieć ten zaszczyt, aby go przyjął w swych murach po śmierci, jak gościł za życia w chwilach najpiękniejszego tryumfu, podczas jubileuszu.

Postanowiono wszelako otworzyć wpierw testament, złożony w sądzie drezdeńskim, aby nie uprzedzić ostatecznej woli zmarłego; wiadomo tylko, że martwym sercem chciał się przytulić do murów świętokrzyżskiego kościoła, w którym niegdyś przed siedmdziesięciu pięciu laty chrzest otrzymał.

Za kilka dni upłynie przypisany formalnościami termin i wtedy, po otwarciu testamentu, będzie można ostatecznie zdecydować o pogrzebie, do którego przygotowania czynią się już w Krakowie w przewidywaniu, że temu projektowi nie i nikt nie stanie na przeszkodzie.

Gdybyż *nikt!*... ale, jak słyszę, pewne stronnictwo w Krakowie, które nie może nawet u trumny

zmarłego zapomnieć swoich uraz do niego, zamierza podobnie, jak podczas jubileuszu, bruzdząc i przeszkadzając w oddaniu w całej pełni hołdu śmiertelnym szczątkom i pamięci Kraszewskiego, autora dotkliwych w swoim czasie „Rachunków“. Pięćdziesiąt ośm lat pracy twórczej, obywatelskiej i pisarskiej, tysiąc tomów dzieł, olbrzymi wpływ na cały okres literatury, nie mogą zrównoważyć pretensyj, jakie do zbyt może swego rachmistrza miała partya polityczno-społeczna za uwagi czynione jej przedstawicielom...

Rozum, takt i pobłażliwość chrześcijańska powinny się w tę sprawę wnieść, a jeśli mimo wszystko do głosu nie dojdą, prywatni i miłośnicy własnej nie zwyciężą, to i bez jednego tonu złożą się akord uznania i czci dla zmarłego pisarza i jego zasług.

Prasa warszawska dała wyraz swojego żalu i spełniła obowiązek względem nieboszczyka, poświęcając mu gorące nekrologi i urządzając zeszłej soboty nabożeństwo za duszę niewygasłej pamięci autora w kościele świętokrzyskim. Kościół przepelniły tłumy, setki jarzących świateł zapłonęło w świecznikach pod sklepieniem świątyni i u katedry, który ozdobił olbrzymi biust nieboszczyka, wykonany z zadziwiającą szybkością przez młodego rzeźbiarza, p. Celińskiego, i portret, pędzla Szwojnickiego.

Wszystkie trzy orkiestry teatralne i artyści Opery, pod kierunkiem dyrektora Münchheimera, wykonały mszę Moniuszki; celebrować miał ks. biskup Ruszkiewicz, zastąpił go wszelako ks. kanonik Knapieński.

Mowy żadnej nie było z kazalnicy; dźwięki żałobnego marsza Szopena musiały starczyć za słowa. Może to i lepiej się stało, że każdy ze słuchaczy dośpiewał sobie w duszy, czego nie usłyszał z ust oratora.

Piękny, oryginalny w swoim rodzaju nekrolog poświęciła Kraszewskiemu redakcja *Tygodnika ilustrowanego*, wydając osobny numer powiększonych rozmiarów, wypełniony licznymi rycinami i artykułami, przedstawiającymi zmarłego, jako człowieka i pisarza. Była to niby miniatura książki jubileuszowej, wydanej przed siedmiu laty, w streszczeniu, ale miniatura udatna, urozmaicona i zajmująca, pomimo jednolitości tematu. Kosztów i zachodu nie szczędzono, a pośpiech w zebraniu materiału godny był prawdziwie europejskiej ilustracji, poczuwającej się dobrze do obowiązku względem swoich czytelników.

Inne pisma obrazkowe, jak *Kłosa* i *Biesiada literacka*, przyrzekły również uczcić w podobny sposób pamięć najcenniejszego współpracownika swego, bez którego ciężko będzie teraz całej prasie polskiej, smutno całemu piśmiennictwu; śmierć Kraszewskiego osierociła je i zubożyła o siłę niezastąpioną w najdalszej nawet przyszłości. Nie jedno i nie dziesięć piór wypełni powstała luka. Starszych tak niewiele już mamy; młódź tak mało obiecuje i zapowiada...

Srogo dotknęła nas ręka losu!

Powieściopisarstwo nasze najwięcej ucierpi na ubytku Kraszewskiego; kto go zastąpi, choćby pod względem ilości dostarczanych utworów?... Nowych talentów nie widać te, co się zdołały odznaczyć, płodzą powoli, mało, skąpo, albo dychwicznie; oddechu im brak na dłuższą metę. Oprócz jednego Sienkiewicza, kto dzisiaj zdobędzie się na więcej, niż jeden tom powieści?...

Mam przed sobą najnowszą pracę Chmielowskiego p. t.: „Nasi powieściopisarze“; książka spora o pięciuset z górą stronicach, złożona z rozbiórów i studyów o siedmiu najcenniejszych beletrystach polskich po roku 1830-ym. Jest tu obszerna charakterystyka Kraszewskiego, Czajkowskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Zacharyasiewicza, Jeża i Sienkiewicza: szkoda, że w tym dobranym komplecie nie pomieszczono z dawniejszych Korzeniowskiego, z nowszej Orzeszkowej, ale znajdują się oni chyba w drugiej seryi, na którą znakomity nasz krytyk i badacz literatury tak sumienny, zapewne niedługo czekać nam każe.

Kiedy się porównywa te filary z innymi słupkami naszej beletrystyki, widać dopiero, jak

talenta powieściopisarskiego u nas zmalęły. Po dziesięciu latach zbierze się dla poważnego krytyka materiału chyba na jedną broszurę, jeśli nie wyskoczy jakiś nowy, niespodziany talent, obdarzony wyjątkową twórczością.

Zajmującą ze wszech miar pracę Chmielowskiego wydała młoda a nadzwyczaj ruchliwa firma nakładowa w Krakowie: Żupańskiego i Heumana, która niespełna rok swego istnienia zapisała już długim szeregiem wydawnictw niepośledniej wartości.

Młodzi nakładcy energicznie wzięli się do rzeczy; chcą w Krakowie utworzyć widocznie tak ruchliwą spółkę wydawniczą, jak Gebethner i Wolff w Warszawie. Byle tylko młodzieńczą krewkością nie śpieszyli zanadto i wybierali starannie.

Od kilku miesięcy już wydają uniwersalną Bibliotekę najcenniejszych utworów swojej i obcej literatury, obecnie prowadzą druk oryginalnie napisanej „Historii filozofii“ prof. Maurycyego Straszewskiego w drodze prenumeraty, a przygotowują kosztowny nakład ilustrowanego wydania Dzieł Mickiewicza, które rozpocznie „Pan Tadeusz“ z rysunkami Juliusza Kossaka, i innych cenniejszych artystów młodszego pokolenia.

Niebawem ma się ukazać również ich nakładem pierwsza próba ilustrowanych „Nowel“ na wzór francuzkich wydawnictw w tym rodzaju; kilku cenniejszych naszych nowelistów dostarczy do tego zbioru swych utworów, a niepospolicie utalentowany ilustrator i malarz, Piotr Stachiewicz, przyozdobi książkę swojemi rysunkami.

Podczas mojej bytności w Krakowie zwiedziłem pracownię młodego artysty, urządzoną z rzadkim smakiem i komfortem; na stalugach zastałem wykończone lub naszkicowane kartony do całego cyklu legend i podań ludowych, które ukazać się mają w osobnym zbiorze p. t. „Wieczory zimowe.“

Nie przesadzę weale, powtarzając za krytyką krakowską, że w rysunkach i kompozycjach, jak wogóle w całym talencie Stachiewicza, twórcy „Dziada i baby“, jest pewne pokrewieństwo z Grottem. Jakieś poetyczne technienie owiewa jego utwory, jakaś ujmująca swojskość cechuje wszystkie, a zwłaszcza ludowe temata, które pod jego kredką, czy pędzlem zamieniają się w prześliczne obrazki, zamało, niestety, rozpowszechnione i nieoczone według zasługi.

Przyszłość wszelako odda sprawiedliwość artysty, budzącemu jak najpiękniejsze nadzieje, bo talent i indywidualność jego za dużo mają wybitności, aby się nie miały wyróżnić i wzbicić na wyżyny twórczości.

Już to wogóle cała artystyczna kolonia w Krakowie odznacza się jakimś ubłogosławieniem muz: talentów nowych, młodych, niepospolitych przybywa z każdym rokiem. Sztuka zyskuje bezustannie adeptów, pracujących z poświęceniem, z zaparciem się u jej ołtarzy. Bieda wśród tej młodej rzeszy wielka, ale fantazyi, ochoty, wiary w przyszłość i zamiłowania bardzo dużo.

Ten i ów ma pracownię za jakimś nędznym przepierzeniem ubogiej stancyjki; ani gdzie płótna rozpiąć, ani gdzie stalugę rozstawić, a jednak o chłodzie i głodzie maluje, tworzy i to niepoślednie rzeczy, dobija się sławy, rozgłosu, uznania i pracuje na rachunek przyszłości, która powinna z lichwą wrócić dzisiejsze ofiary.

Za marnych kilka guldenów sprzedaje sięszkie, za kilkadziesiąt wykończy portret olejny, byle było żyć z czego, zaspokoić pierwsze potrzeby, kupić płótna i farb na nowy obraz i pchać tę taczkę żywota po stromej ścieżce, wiodącej ku szczytom laurami zarosłym.

U nas w Warszawie nie lepiej, ale zawsze warunki mniej trudne, życie mniej ciężkie, widoków trochę więcej; gdyby nie ogólny zastój, dający się we znaki wszystkim, można by jako tako exystować.

Nasza artystyczna rzesza poczyna trochę praktyczniej myśleć o sobie i swoich interessach. W Krakowie powstaje towarzystwo akwaforcistów, które zamierza tę gałąź artystyczną produkcyi rozwinąć na swoją korzyść; w Warszawie

zyskuje się przedsiębiorstwo „wędrównych wystaw“ po prowincyi, mające widoki powodzenia, jeśli pozyska energiczny zarząd i potrafi dobrać obrazów zainteresować publiczność prowincjonalną, jak to np. umie dzisiejszy komitet Towarzystwa zachęty do sztuk pięknych, lub właściciel wystawy Krywulta w Hotelu Europejskim.

Od kilku dni na tej wystawie budzi ogólny podziw dużych rozmiarów obraz francuzkiego malarza Jerzego Rochegrosse'a, przedstawiający krwawą scenę z „Wojen chłopskich“.

Artysta przeniósł na płótno jeden z epizodów płamiących kartę historii Francyi z w. XIV-go.

Zbuntowany, pijany szalem i trunkiem tłum napada zamek obronny jakiegoś magnata, wciśnięta się do komnaty, w której same kobiety z dziećmi szukały schronienia i niesie mord i zniszczenie bezbronnym ofiarom.

Przez wyłamane drzwi i okna wtargnęła horda napastników, zatrzymując się u wejścia, jak gromada upiórów, strasznych, groźnych, krwią przesiąkniętych; na halabardach niosą, zamiast sztandarów, zatkniętą głowę i serce pomordowanych szlachciców, potraszają dzidami i toporami, wyją, krzyczą z wściekłości, za chwilę rzucają się na to sploszone, zatrwożone stadko jagniąt i gołębic, przeznaczonych na rzeź nieuchronną...

Najstarsza z niewiast, imponująca jakaś matrona, wita ich surowym spojrzaniem i rezygnacyjną wobec groźnej śmierci; stara się ich wzrokiem powstrzymać i cały tłum jakby na jej widok w miejscu stanął, lecz nie zawaha się dłużej; to poznać po wszystkich twarzach zezwierzęconych szalem i roznamiętnieniem, po gestach groźnych, po wrzasku z obelg, klątw i nagrawania złożonym.

Scena prawdziwie tragiczna, tłumaczy się odrazu jasno każdemu widzowi i przykuwa go swoją grozą i expressją...

Grupa strwożonych niewiast prześliczna; tłum wpadający przejmując grozą i wstrętem, dzikie zwierzęta—nie ludzie. Ktoś w krytyce zarzucił artysty, że przesadził w charakterystyce kontrastu między napadniętymi a napastnikami—i ten lud przedstawił wynaturzony zupełnie z godności człowieczej. Zapewne, jednak uczynił to nie tylko dla większego efektu, ale i dla większej prawdy... Straszny, upiory, widma jakieś ciśnieją się przez wywalone drzwi komnaty, jednak niema w nich nic nienaturalnego. Powiedział niegdyś Schiller w „Dzwonie“, że „Das schrecklichste der Schrecken ist der Mensch in seinem Wahn;“ rozszalały, rozwścieczony człowiek straszniejszym bywa od srogiego lwa i tygrysa.

Wątpię, czy Rochegrosse miał na celu zohydzić lud i demagogią, czy w swoim obrazie chciał sympatyą widza pozyskać dla arystokracji,—przypuszczam, że mu chodziło jedynie o efekt tragiczny, o wydobycie największej siły z kontrastu, i to mu się udało znakomicie.

Pod względem technicznym młody artysta jest mistrzem niepospolitym; rysunek, koloryt, plastyka, perspektywa — nie pozostawiają nic do życzenia. Staranność wykończenia całości do najdrobniejszych szczegółów, jak wzorzysty deseń na materyach, mozaika na posadzce, lub potłuczone kawałki szyby u wejścia — zadziwiająca. Niczego tu nie lekceważono, niczego nie zbyto byle czem. Niektóre nasze młode Tycyany, Rubensy i Rafaele, powinnyby uczyć się tego poszanowania sztuki i własnego dzieła od obcego kolegi, a wówczas nie patrzylibyśmy na płótna utalentowanych... gwazdaczy, którzy swoje obrazy wystawiają obok, podmalowane z dekoracyjnym efektem dla większego pośpiechu a z pretensją do artystycznego niedbalstwa, które niekiedy może mieć swój urok, ale nie powinno się stawać manierą.

Skoro nie mają cierpliwości do malowania trwałych obrazów, niechaj lepiej pomysłowość swoją i talent zużytkowują do układania obrazów... żywych; zdobędą sobie również tanim kosztem chwilowy rozgłos.

Pomysł ten przyszedł mi na wielkim raucie zeszłego Czwartku, który towarzystwo pań pod we-

zwaniem św. Wincentego à Paulo urządziło w sali ratuszowej. Pogańska Słowiańszczyzna i oświecone Średnie Wiekі, dostarczyły tematu do sześciu obrazów, któremi wypełniono — nudny program wieczoru. Coś niby ze „Starej baśni“ przypominały pierwsze trzy żywe kartony w ramach *ad hoc* urządzonej sceny; wdzięki i malownicza prostota rywalizowały tu z dalszemi obrazami w których przepych strojów, bogactwo klejnotów i wystawność magnacka znalazły sposobność popisania się publicznie.

Śmietanka naszego towarzystwa razem z kuzuszką zebrała się na tym raucie; parlowano zawzięcie po francuzku, aby, broń Boże, nie przypuszczono nawet, że to polskie damy i stare polskie rody zebrane były w tym salonie.

Dajmy pokój rautowi, skoro należy już do przeszłości, a w kronikach naszego *high-lif'u* zapisał się brylantowym piórem. Teraźniejszość więcej zasługuje na uwagę.

Raz jeszcze powrócić muszę do wystawy zabytków sztuki i archeologii w Hotelu Europejskim, urządzonej z inicjatywy i głównym staraniem Józefa hr. Krasińskiego na dochód Towarzystwa Dobroczynności. Niech mówią, co chcą — wystawa jest imponująca, napatrzeć jej się do syta nie można. Wyznaję, że z podziwem chodziłem po tych dziesięciu czy jedenastu salonach, zapelnionych cennymi okazami, z których każdy mógłby opowiadać historią, począwszy od złotego pudełeczka roboty samego Kościuszki, aż do owego rycerza w zbroję zakutego na koniu, od kałamarza Zamojskiego do ołtarzyka Jana III-go.

Kto przypuszczał, iż tyle cennych, pięknych pamiątkowych podwójnie rzeczy, znajduje się, u nas w prywatnym posiadaniu!... jeszcze więcej zadziwił mnie cud zebrania tego wszystkiego na wystawie, która zamieniła się w rzadkie Muzeum Europejskie. Hr. Krasiński cudu dokazał, wyprosiwszy sobie od właścicieli tyle pamiątek, tyle kosztownych zabytków, tyle drogocennych przedmiotów. To zadanie nie lada i sztuka bardzo trudna wyostać ze zbiorów prywatnych, ze skarbców rodzinnych owe zabytki; ze strony szczęśliwych posiadaczy, to nawet pewien rodzaj poświęcenia, rozstawać się choćby na kilka tygodni z przedmiotami, do których przywiązuje się wyjątkową wartość, ogałając ściany z obrazów, salony z mebli, gablotki z porcelany i sreber, serwantki z gracików rzadkiej piękności i t. p. A obawa, pomimo wszelkiej rękojmi, aby to nie zginęło, nie uszkodziło się, nie zapodziało!... Trzeba mieć tyle szczęścia, sympaty i zaufania widocznie w swojej sferze, co hr. Krasiński, aby wszystkie te przeszkody pokonać i nie szcędząc trudu, zachodów, sprytu i energii, przyprowadzić taką wystawę do skutku. Już nie samo Towarzystwo Dobroczynności, ale i publiczność, znajdująca sposobność zobaczenia tylu rzadkich zabytków, nauczania się czegoś, wykształcenia swego smaku, winna podziękę i uznanie inicjatorowi i organizatorowi wystawy.

Do 15-go Kwietnia będzie można jeszcze podziwiać to czasowe Muzeum, a fatyga opłaciłaby się nawet dla przybywających zdaleka.

Do zwiedzenia wystawy zachęcam również gorąco, jak do usłyszenia „Lutni“, nowej drużyny śpiewaczej, która z inicjatywy znanego muzyka p. Piotra Maszyńskiego, istnieje w Warszawie od kilku miesięcy i pod jego kierunkiem wybornie nastrojona, dała się w sobotę poraz pierwszy usłyszeć z estrady koncertowej. Nie można było lepiej przedstawić się publiczności i przebojem zdobyć sobie jej sympaty: od pierwszej pieśni, wykonanej chóralnie przez czterdziestu kilku młodych, eleganckich, inteligentnych śpiewaków, zawiązała się serdeczna nić między „Lutnią“ a słuchaczami, jedna struna więcej, która rozbrzmiewać odtąd będzie przy wszystkich jej publicznych popisach.

Śpiewacze grono odrazu stało się popularnem, pieśnią ludową trafiło do serca słuchaczy, artyzmem wykonania ujęło znawców. Panu Maszyńskiemu należy się gorący okłask uznania za umiejętną pracę dyrektorską; nie będziemy odtąd potrzebowali zazdrościć Lwowianom ich „Lutni“, mamy swoją własną, a jej dźwięki dostar-

czą nam nieraz pięknych wrażeń i ukołyszają w rozkoszne marzenia.

Prezesem nowego towarzystwa został zaszczytnie znany mówca i adwokat, p. Peplowski, firma bardzo dobra i zaufana dla korporacji, złożonej z przedstawicieli inteligencji wszelkich stanów.

Po pierwszym koncercie odbył się w salach Resursy Obywatelskiej inauguracyjny bankiet lutnistów, na którym członkowie ofiarowali wśród gorących przemówień dyrektorską pałeczkę w srebro oprawną p. Maszyńskiemu, a to godło taktu i karności niechaj jak najdłużej dzierży w młodem i sympatycznym gronie energiczny jego przewodzący!

Początek jaknajpomyślniej wróży o przyszłości...

Quis.

PODCZASZANKA.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.

(Dokończenie).

Kommissya Rządowa, korzystając z zaślubin generała dywizji Dąbrowskiego, kosztowną tę agrafę przeznaczyła osobie, która oddała rękę najdzijszemu z żołnierzy.

Tyle ze źródeł spółczesnych, co uważaliśmy przytoczyć za stosowne; dodamy jeszcze, że z powodu tych weselnych godów generała, w czasie których brylantowa agrafa lśniła na łabędziej szyi panny młodej, posypało się mnóstwo wierszy okolicznościowych, z których sporą wiązanek mamy dziś pod ręką. Dwa z nich przytaczamy, jako najwięcej charakterystyczne i najwięcej zastosowane do okoliczności ślubu podczaszanki Chłapowskiej. Oto z nich jeden, złożony z czterech zwrotek, napisany przez jakąś damę, jak pokazuje charakter pisma kobiety.

Kiedy Samnita, broniąc ojczyzny,
Innych celował odwagą, mężstwem,
A gdy do tego, okryty blizny,
Napaść zuchwałą odparł zwycięstwem —

Wdzięcznym mu naród był i pleć biała
Po tym, na polu Marsa, zawodzie
Każda-by była Samnitka chciała,
Obrońcy kraju dać się w nagrodzie.

Lecz, że inaczej mówiły prawa,
A u Sammitów nienaruszone:
Że ten, którego okryła sława
Miał najpiękniejszą wybrać za żonę —

Choć upadł naród, prawa zostawił,—
Prawo to Polki przyjęły na się;
Gdy rycerz, który w boju się wslawił
Wybrał dla siebie — *Basię*.

Inny znów wiersz na cześć generała pisany, jest za długą apologią, aby go tutaj można przytoczyć w całości. Zaczyna się napuszyć, powtarzając znane rzeczy o legionach, o bitwach pod Tczewem i Friedlandem, nareszcie przy końcu wywołuje postać ziemi ojczystej, która mówi:

Gustaw mnie gnębił czas długi,
Stefan dzielnym wsparł mnie czynem;
Wojenne jego usługi
Nagrodziłam Tykocinem.

Dąbrowski, tym idąc śladem,
Sławę Czarnieckiego dzieli

Za Tybrem, Adygą, Padem
Lat dziesięć zbierał mścicieli.

On pierwszy na włoskiej ziemi
Z odłamów postać mą zlepił,
Wróciwszy z braćmi swojemi
Zapał Narodu ukrzepił.

Niech dar wyrównywa czynom,
Niechaj odbiera nagrodę;
Zachowaną prawym synom,
Przeznaczam dla Niego Środę.

Obecna sprawiedliwość wniosła w księgę złotą,
Dziedzictwo Dąbrowskiego wysłużone cnotą.

Za nim przejdziemy do dalszego życia naszej podczaszanki, teraz już generałowej Barbary Dąbrowskiej, zajmijmy się ową brylantową agrafą, która przed kilku już laty wywołała spory. Genezę daru ówczesnego rządu poznaliśmy z przytoczonej mowy generała Kosińskiego, co zaś do samego sporu, podnosimy go dla tego, że już w r., 1876 pisał o agrafie ś. p. Lucyan Siemiński, słowa następujące: ¹⁾ „Klejnot ten, mający wartość pamiątki prawdziwie historycznej, bo przypomina nam tyle rzeczy jak: przywrócenie bytu narodowi, jak osobę bohatera, co walczył pod Kościuszką, co stworzył legiony, co, stanawszy na własnej ziemi jeszcze zwyciężał niechęcych z niej ustąpić, — klejnot ten należy do osobliwości w swoim rodzaju i godzien byłby najpierwsze zajmować miejsce w świątyni Sybilli”... „Obecnie — pisze dalej ś. p. Siemiński — jak słyszeliśmy, agrafa ta wraz z innymi pamiątkami po dzielnym wodzu ma się znajdować w ręku syna ś. p. generała Dąbrowskiego, spadkobiercy i dziedzica Winnogóry.” — Pobudzeni temi słowami, troskliwi przytem o pamiątki po generale Dąbrowskim, zaczęliśmy wiadomości u właściwego źródła i możemy na podstawie łaskawego listu synowej generała, pani Weroniki z hr. Łąckich Bronisławowej Dąbrowskiej zapewnić czytelników, że agrafę wspomnianą otrzymała pani Weronika w darze od ś. p. swjej świekry, Barbary z Chłapowskich generałowej Dąbrowskiej, że takowa jest w jej posiadaniu, i że stała jej intencją jest złożyć agrafę, jako *votum* w kaplicy N. P. Maryi na Jasnej Górze w Częstochowej. Tyle, co do tego cennego upominku, a teraz wróćmy do świeżo zaślubionej pary, która po wspomnianych uroczystościach udała się do Winnogóry, owej donacji generałowi Dąbrowskiemu przez Napoleona przyznanej.

Tytuł „Podczaszanki”, jaki położyliśmy u czoła naszej pracy, nie uwalnia nas bowiem od kreślenia dalszych kolei życia tej znakomitej osobistości, jakkolwiek zmieniła ona godność z ojca podczaszanki na poważniejszy tytuł generałowej Dąbrowskiej. Nie pójdziemy więc w ślady tych powieściopisarzy, którzy utwory swoje zakończają połączeniem narzeczonych u stopni ołtarza, a nawet nie moglibyśmy tego uczynić bez uszczerbku niniejszego opowiadania, gdyż rola podczaszanki, dotychczas dość bierna, zamieniała się w czynną i znamenitą działalność generałowej Dąbrowskiej. Tę-to działalność, będziemy się starali uwydatnić oile możności treściwie.

Niedługo, bo zaledwie dni kilka, trwały miodowe chwile nowo zaślubionej pary i odpoczynek po trudach wojny dostojnego wodza. Król saski Fryderyk August odprawił wjazd uroczysty w obręb pod jego rządy świeżo oddanego państwa. Aby powitać u granic nowego monarchę, wysłał rząd mężów najwięcej zasłużonych w kraju; ze strony wojska powołano więc do tej zaszczytnej misji generała Dąbrowskiego, ze strony rządu zaś referendarza koronnego Małachowskiego. Podczas, gdy generał dążył z Małachowskim na granicę księstwa, pani Barbara udawała się

¹⁾ Patrz fejteton krakowski „Czasu” z 6-go Listopada 1876 r.

prosto do Poznania, aby w stolicy dawnej Wielkopolski robić honory przyjęcia dostojnej pary monarszej. Po jednodniowym pobycie królewskich gości w Poznaniu nastąpiła dziesięciodniowa podróż po kraju i liczne odwiedziny rozmaitych dworów czy pałaców znakomitszych obywateli Księstwa Warszawskiego, w których pani Barbara brała udział w orszaku królewskim. D 21 Listopada odbył się uroczysty wjazd króla Fryderyka do świetnej bardzo podówczas Warszawy. Odbywał on się przez Mokotowskie Rogatki, między szpalerami wojska ustawionego od Ujazdowa aż do zamku królewskiego. Król wraz z małżonką i księżniczką Augustą, siedział w otwartej ośmiokonnej karecie; marszałek Davoust, książe Józef Poniatowski, generał Dąbrowski i wszyscy wogóle obecni generałowie polscy i francuzcy, w gronie adjutantów i wyższych officerów sztabu, ubrani w świetne, kapiące złotem mundury, pokryte gwiazdami i orderami, na pysznych koniach, przyczyniali się niemało do wspaniałości orszaku, a huk armat i jak rozkołysanych dzwonów wszystkich kościołów warszawskich, dodawały uroczystości wjazdowi monarchy. „Lud krzychał „vivat”, a królestwo się klaniali”, jak powiada pani prefektowa Anna z Potockich Nakwaska, autorka „Dworu Wiejskiego”, „Czarnej Mary” i innych, poczynnych niegdyś, powiastek ¹⁾. Po całym szeregu uroczystości i zabaw, na których jaśniała młodocianą pięknosciami pani generałowa Dąbrowska, mianował król na posiedzeniu 21 Grudnia 1807 r., członków senatu, rozdawał również godności i dekoracje. Między zaszczyconymi godnością kawalerów Orła Białego spotykamy i naszego generała Dąbrowskiego, obok Stanisława Małachowskiego, St. Kostki Potockiego, Józefa Wybickiego, Piotra Bielińskiego i Ksawerego Działyńskiego.

Dwa pierwsze lata exystencji politycznej Księstwa Warszawskiego, odr. 1807—1809, można śmiało nazwać epoką przejściową pokoju, w której organizowano władzę, zaciągano wojsko, kształcono świeże siły do dalszych walk, jakie niebawem miały nastąpić. I naszej parze płynęło życie spokojnie, częścią w Winnogórze, a częścią w Warszawie, gdzie generał Dąbrowski, jako komendant trzeciej dywizji, poświęcał się z niestrudzoną wytrwałością pracy około organizacji i wyćwiczenia żołnierzy, a generałowa Barbara—obowiązkom gospodyni domu. Dopiero wiosną r. 1809 sprowadziła nową burzę na naszą ojczyznę. Nie będziemy opisywali tej chlubnej dla oręża polskiego kampanii w całej rozciągłości, należy ona bowiem do historii; zaznaczenie jednakowoż kilku jej rysów, zdaje nam się niezbędnym.

Niespodziewane zbrojne najście przez Austriaków, pod wodzą arcyksięcia Ferdynanda, granic Księstwa Warszawskiego, zastało generalstwo Dąbrowskich w ulubionej Winnogórze. General, zawiadomiony kuryerem o napadzie, przez księcia Józefa, podążył natychmiast do Warszawy na radę wojenną. Niestety, wszystko zastał nieprzygotowane: wojsko rozłożone po fortecach, mury obronne Warszawy w stanie kompletnej ruiny, niemożliwe zupełnie, by ich użyć na wypadek oblężenia miasta. Rada stanu straciła głowę ze wszystkim, ludność była w najwyższym popłochu; jeden tylko książę Józef z Dąbrowskim utrzymali cały zasób energii i przytomności w działaniu. Na radzie wojennej, odbytej 15-go Kwietnia, skreślił wódz legionów plan genialny całej kampanii a jego świetnym wykonawcą był najprzód dzielny książę Józef, następnie sam Dąbrowski, Zajączek, Sokolnicki, Pelletier i tylu innych wślawionych na kartach tej kampanii wodzów. Wynikiem tego planu była bitwa pod Raszynem, opuszczenie Warszawy, aby się przerwąć na prawy brzeg Wisły i podać rękę z gorączkową niecierpliwością oczekującej wojska polskiego Galicji. Doniosłość tego planu pokazały skutki, świadczące, że płodny w pomysły geniusz Dąbrowskiego prócz operacji strategicznych, miał przedewszystkiem na widoku rozszerzenie gra-

nie Księstwa Warszawskiego, stosownie do pierwotnie powziętych nadziei i celów.

Po bitwie raszynskiej i świetnych potyczkach pod Górą, Radzyminem i Grochowem, rozdzielili się nasi wodzowie, a kiedy książę Józef i Sokolnicki maszerowali ku granicy galicyjskiej, kiedy Zajączek udał się w Radomskie, Dąbrowski przeznaczył się na czele „jednego szwadronu” ¹⁾ do Wielkopolski, ażeby na tyłach Austryaków zorganizować powstanie. Wspólnie z obecnym już w Poznaniu Józefem Wybickim i generałem Amilkarem Kosińskim, wzięli się rażno do dzieła a przy ogólnym entuzjasmie i zaufaniu obywatelstwa do wodza legionów szła organizacja tak szybko, że w niespełna dwa tygodnie po swoim przybyciu wyruszył Dąbrowski na czele 8,000 wojska ku Częstochowie, jako główno-kommandujący na lewym brzegu Wisły. Pobiwszy Austriaków pod Łęczycą ²⁾ 29 Maja, zaszachował Dąbrowski w sposób decydujący arcyksięcia Ferdynanda. Młody i niedoświadczony wódz nieprzyjacielski uczuł teraz dopiero całą groźbę położenia wobec tylokrotnych zwycięstw naszego oręża i powstania rozwijającego się z błyskawiczną szybkością, a zajmującego już całą prawie Galicję. To też w obawie zupełnego odcięcia odwrotu, po sześciotygodniowym bezczynnym pobyciu, począł się cichaczem wynosić z Warszawy. Odwrót swój uskutecznił arcyksiążę Ferdynand w sam dzień Bożego Ciała i z tego-to czasu znaleźliśmy w starych papierach rodzinnych, kilka wierszy okolicznościowych, z których wyjmujemy nader charakterystyczny czterowiersz:

„Był tu książę Ferdynand, nabył wielkiej sławy:
Sześć tygodni zabawił i uciekł z Warszawy.
Mój książę, Ferdynandzie, cóż ci się to stało,
Że uciekłeś z Warszawy w samo Boże Ciało?”

Kiedy się Austriacy, „w militarnym porządku” ³⁾ cofają ku Sandomierzowi, Dąbrowski ze swoim korpusem staje w Łowiczu, prawem skrzydłem opierając się o Częstochowę; ztamtąd zabierając nieprzyjacielskie oddziały w niewolę, rusza na Bolimów, Skierniewice i Błonie ku Warszawie, którą zajął na czele przedniej straży generał Amilkar Kosiński, jako gubernator miasta; nasz zaś wódz zbliżył się na głowę Austriaków pod Białą i Rawą, szedł na Piotrków, a przebywszy Pilić pod Sulejowem, 16-go Czerwca stanął w ówczesnych granicach Galicji, powitany przez mieszkańców tamtejszych z nieopisanym zapałem. Po niefortunnej Zajączka rozprawie pod Jedlińskiem, wskutek czego musiał się Dąbrowski cofnąć, aby Warszawę zasłonić, połączyły się dywizje księcia Józefa i naszego generała 4-go Lipca w Radomiu, tym sposobem, że ostatnia tworzyła korpus rezerwowy korpusu głównego pod księciem Józefem, dążąc ku Krakowu. Nie będziemy trudzić czytelników wszystkimi marszami i kontrmarszami wojsk Księstwa Warszawskiego, sądzić bowiem, że to jedynie specjalistę obchodzićby mogło, nadmienię jednak, że tak połączone dywizje, zabrawszy po drodze rozbitą dywizję Zajączka, po dwu świetnych zwycięstwach pod Żarnowem i Książem, stanęły 12-go Lipca pod murami Krakowa, dotąd będącego w rękach austriackich. Po jednodniowym zawieszeniu broni, w czasie którego toczyły się układy o kapitulację załogi nieprzyjacielskiej, nastąpiło podanie się stęrożytnego gródu i zajęcie go przez tak dawno niewidziane tutaj wojska. Puste byłyby słowa na opisanie entuzjazmu zacnych Krakowian, o którym zresztą współczesne źródła dają dosyć wyobrażenia; dla ciągłości jednak opowiadania zaznaczymy epizod, który się go bezpośrednio tycze. Mówię tu o słynnym po dzień dzisiejszy balu, danym przez obywatelstwo Krakowa

i jego okolic, na cześć księcia Józefa, w olbrzymiej halli Sukiennic.

Wszystko, co było znakomitszego ówczasie w nadwiślańskim grodzie, spłynęło do wspaniałego oświetlonego gmachu Wielkiego Kazimierza. Nieprzeliczony tłum gości przepełnił stare mury, kipiąc i wracając życiem, radością i iluzjami przyśzłości. Obok złocistych mundurów generałów i officerów wojsk Księstwa Warszawskiego, przesuwały się świetne toalety krakowskich piękności, obok poważnego kontusza ocierał się złotem haftowany mundur prefektury, albo zielony uniform officerów rosyjskich z korpusów Suworowa i Siewiers'a, stojących równocześnie w Krakowie jako sprzymierzone wojska cesarza Francuzów. W całym zgromadzeniu panowała harmonia i ten rodzaj uroku, jaki zazwyczaj towarzyszy chwilem patryotycznych uniesień. Książę Józef i nasz generał Dąbrowski byli przedmiotem i celem ogólnej czci i zapalu, za nimi, jak za słońcem, zwracały się oczy całego zgromadzenia, współubiegającego się w oddawaniu hołdu ich niespożytem zasługom. Wtem, koło godziny trzeciej nad ranem, wśród ochoczych dźwięków orkiestry i setek par tańczących dziarskiego mazura, daje się uczuć pewne zamieszanie; przez ciżbę gości przebija się z trudnością wyższy officer francuzki, niskiej i krępej budowy w mundurze głównego sztabu, a odznaki i przewieszona szarfa błękitna dają poznać adjutanta samego cesarza. Nieznajoma postać officera, mundur opylony i zmięty w podróży, znużenie, które obok wyrazu tryumfu malowało się na jego twarzy, zelektryzowały zgromadzonych, budząc powszechną ciekawość. Officer szedł prosto do księcia Józefa i salutując, prosił go na ustęp w celu udzielenia służbowych wiadomości. Był to znajomy nam już Dezydery Chłapowski, wysłany z głównej kwatery cesarskiej z depezsami do księcia Józefa. Pewien przestrach, jaki zapanował w zgromadzeniu, łatwo do pojęcia w owych czasach istnych nieprawdopodobieństw, miała się niebawem rozproszyć.

Szczęśliwy był to bowiem dzień dla Krakowa, jak szczęśliwy dla wszystkich mieszkańców dawnej Polski; dzień, w którym mogliśmy obchodzić czterechsetletnią rocznicę pogromu Krzyżaków w bitwie pod Grünwaldem. Jakoż, po niedługiej rozmowie i odczytaniu depezy cesarskiej, wyszedł książę Józef z Chłapowskim, udzielając Dąbrowskiemu i bliższemu otoczeniu wiadomości, jaką przyniosła depeza: „Zwycięstwo pod Wagram; zawieszenie broni 12 Lipca podpisane w Znajmie.” Pod wpływem pomysłnych wiadomości zapanowała w Sukiennicach ogólna radość; wszyscy generałowie, a szczególnie wódz naczelny byli w złotym humorze, zwłaszcza, gdy im oświadczył Chłapowski słowa cesarskie, w których Napoleon, dziękując armii Księstwa Warszawskiego, za dokonane zwycięstwa tyle przynoszące dywersji głównej armii francuzkiej, zaręczał, że nigdy nie zapomni o tej części kraju. I rzeczywiście, każdemu wiadomo, iż gdyby armia Księstwa Warszawskiego w ciągle zwyciężkim pochodzie nie była szachowała 60,000 Austriaków w Galicji, gdyby Austriacy mogli przynajmniej 20,000 rzucić na główną linię bojową, a w szczególności na pole bitwy pod Wagram, wypadek tej bitwy był bardzo wątpliwym i kto wie, czy już wtenczas potęga Napoleona nie byłaby złamaną, albo stanowczo zachwianą. Korzyści, jakie osiągnęło Księstwo Warszawskie w tej kampanii są znaczne: po układach w Altenburgu, nastąpił traktat pokoju 14 Października, podpisany przez pana de Champagny i księcia Lichtensteina ¹⁾. Dla Księstwa Warszawskiego przyniosły układy tyle korzyści, że rozszerzyły jego granice o 900 mil kwadratowych, podzielonych na cztery ówczesne departamenty, krakowski, radomski, lubelski i siedlecki, prócz czego zyskało jeszcze księstwo połowę dochodów z żup solnych w Wieliczce i Bochni.

Zanadto może daliśmy się unieść wypadkom historycznym, przypominając o działalności na-

1) Bogusławski: Żywot księcia Józefa Poniatowskiego, 1831; str. 52.

2) Autentyczny raport austriackiego generała Mohra o bitwie pod Łęczycą, będący w bibliotece Ossolińskich f. V. L. 1202 do r. 1809, wyszczególnia Kosińskiego i pułkownika Jana Dąbrowskiego, syna generała.

3) „I so einer militärischen Ordnung den Rückgang eingetreten” Tamże.

1) Ob. Falkowskiego „Obrazy kilku ostatnich pokoleń w Polsce”; Poznań, u Zupańskiego.

1) Thiers. „Historja konsulatu i cesarstwa”, w tłumaczeniu Rogalskiego, tom VI, str. 167.

szej podczaszanki, a przecież kampania z 1809 to dopiero początek tego poświęcenia, jakiego w późniejszym życiu składała dowody. Zrozumiały obowiązek niewiasty polskiej i małżonki wodza legionów, pojęła generałowa Dąbrowska, że tam, gdzie wojna niesie społeczeństwu zagładę i klęski, zadając śmierć lub kalectwo jednostkom, tam zadaniem niewiast koić cierpienia, przykładać łagodną ręką gojący balsam na rany swych bliźnich. To też widzimy młodzieńką generałową oddającą się całą duszą szlachetnie podjętym obowiązkom, widzimy ją z panną Szczańską w niestannej pracy nad niesieniem ulgi nieszczęśliwym, zakładającą lazarety, dostarczającą bieliznę wojakom, albo szpitalom szarpie i lekarstwa, ciągle śpieszącą za obozem męża, aby zbierać chorych, czy rannych, by wreszcie grzebać na polu walki zabitych. Było to prawdziwie heroiczne zadanie dla kobiety z całym niedoświadczeniem młodości, o bardzo delikatnym zdrowiu, przyzwyczajonej od dzieciństwa do wszelkich wygod i dostatków, a dzisiaj narażonej na straszne przejścia wojenne. W ciągłej fatydze i trudach przebywała generałowa tę ciernistą, zakrwawioną drogę, dopełniając obowiązków Samarytanki, nieustraszona ani lukim działani grozą bitew i wrzawy wojennej, ani wreszcie okropnością ran, których zbliżka dotykać się musiała. Ale pomimo hartu ducha i siły moralnej, siły fizyczne nie wystarczały wielkości poświęcenia. W dwa dni po bitwie łęczyckiej zapadła generałowa na zdrowiu i po dłuższej chorobie, dowiedziała się dopiero o końcu wojny. Za radą lekarzy, udała się do Salzbrunn, skąd 20 Września powróciła do Krakowa¹⁾, aby się połączyć z małżonkiem i po kilkotygodniowym pobycie w Kraszowicach u szambelana Jana Kępińskiego, powrócić do ulubionej sobie Winnogóry.

LIST Z RZYMU.

Zima 1887 roku będzie nietylko długo pamiętną mieszkańcom Rzymu; nietylko dzisiejsze dzieci będą o niej opowiadać dzieciom swoim, ale zajmie ona miejsce w kronikach Wiecznego Miasta—zima, w której śnieg leżał przez dwa dni na ulicach Rzymu!

Zdarzyło się coś podobnego za Klemensa XII; wypadek miał miejsce w same ostatki, wskutek czego papież zakazał maskarady ulicznej, na wielkie zmartwienie gawiedzi, która chciała użyć śniegu w miejsce *conetti* i raczyć przechodniów śniegowymi kulkami. Ale ów historyczny śnieg nie może iść w porównanie, tak co do ilości, jak i co do trwałości z tegorocznym, który padał 9 i 10 Lutego i pokrył Rzym i jego okolice białym kobiercem.

Co to był za widok! wyrazić się nie da — ta architektura południowa, te wszystkie posągi, rogi obfitości, girlandy kwiatów — śniegiem pokryte... To też malarze i fotografowie pracowali od świtu do zmroku, uwieczniając widok, który, jak przypuszczać trzeba, nieprędko się już powtórzy, i którego zapewne nie zobaczy już raz drugi pokolenie żyjące, i niejedno, które po nim nastąpi. To też można powiedzieć, że mało kto, szczególnie z Rzymian rodowitych, siedział w domu. Otulano się, owijano w co kto miał, ale tłumami śpieszono oglądać Forum Romanum, Kolizeum, Fontannę Trevi — wśród śniegu! Dziwnie poważnie i uroczyście, jak widzenie we śnie jakiejś krainy pośmiertnej, przedstawiało się to w wszystko. Obraz był niewypowiedzianie malowniczy.

Drugą jego stronę przedstawiały chłopaki rzymskie. Jak to latało, zmarznięte, a przecież rozbawione prawdziwie powłosku, ciskając na siebie śniegiem! Kto ich widział na wzgórzu Pin-

ciańskim, zrozumie, co to jest temperament południowy, kiedy się rozrusza. Postawili ogromny bałwan ze śniegu, któremu się przyglądali z zajęciem tłumy. Byli tacy pomiędzy ludem, zwłaszcza kobiety, które uważały to za złą wróżbę dla Rzymu. „Najdą nas ludzie z północy“ — mówiono tak, jakgdyby Gety i Daki koczowali pod Rzymem z hordami swojemi. Już to i wyobraźnia południowa, zwłaszcza w ludzie prostym, jest fenomenem, który mógł wydać myt o Pegazie. Skrzydlaty jakiś rumak stoi dla nich zaraz na pogotowiu, chwytą się go za grzywę i cwałuje na nim w sposób zadziwiający dla cudzoziemców. Nadzwyczajność, cudowność — to żywioł, w którym te natury ożywają się dopiero, wprawiając w ruch całą swoją istotę.

Karnawał swoim porządkiem odbywał się w sferach wyższych wedle modły — nie rzymskiej, ale utartej wielko-światowej. Do piękności tegorocznych i już prawdziwie rzymskich, bo klasyczną jest, należała córka Ristori, donna Bianca del Grillo. Profil prześliczny i najczystszy rysunku, jak z posągu zdjęty, a przytem pleć przejrzyste błada — błada na ten sposób, o którym można powiedzieć, iż należy do typu południowego, bo jest mimo swej bładoci gorącym. Do tego oczy czarne, długie, słodkie, spokojne, a czuć, że mogą w każdej chwili rozgorzeć i ciskać płomienie. Kibić wysmukła, do palmy podobna, która nabierała jeszcze wyższego wdzięku, że była najczęściej odziana w biel, z wielką prostotą w draperyach, a bywała to najczęściej suknia tworząca jakgdyby starożytną tunikę. Ludzie szepotali sobie na ucho, że matka swoją sztukę tragiczki przenosi na tualetę córki i tworzy z niej zawsze jakieś idealne postacie dziewczęce, ale to nie nie ujmowało efektowi, tem więcej, że młoda panna nosi z wielkim wdziękiem i naturalnością swoje piękne stroje, w rzeczywiście stylowe, ale zawsze wyższego i szlachetnego smaku.

Dodać trzeba nawiasem, że w Rzymie panny ubierają się z wielką prostotą. Kolor biały, białoniebieski, blade-różowy — to sfera ich kolorytu, z klejnotów najczęściej perła, lub jakaś prosta ozdoba złota. To już jest zasługą królowej Małgorzaty, które daje poznać matkom, że lubi widzieć u młodych panien wdzięk skromny i prawdziwie dziewiczy.

Zato nigdzie na świecie nie można widzieć takiego bogactwa drogich kamieni, jak wśród pań arystokracji rzymskiej. Księżna Brancaccio, dama dworu królowej, ma takie szafiry, jakich drugich nikt nie posiada. Brylanty jej, połączone z perłami, są też sławne, ale ta rzymska księżna rozdziła się prostą miss amerykańską: Hickson Field. Na targu rzymskim jest też i rynek małżeński, gdzie taksamo, jak się to zdarza gdzie indziej, za stare nazwisko nabywa się milionowe posagi. Stara władczyni świata, tradycya rodzinna, idzie cicho w ką, a bogdaj, czy nie chowa się na strych między rupiecie, bo ją głównie kobieta wiezie ze sobą, wstępując do mężowskiego domu i według jej nakazu dom ten i jego obyczaj urządziła, gdzie rodzi się i chowa dziecko. Że nowa, z nową kobietą wchodząca w progę domowego przybytku, starej ustąpić każe — rzecz łatwo zrozumiała. Do rzymskiego atrium wkracza amerykańska, a do nas jaka mianowicie?

Zbliżająca się wystawa koronek, obić i przedmiotów tkanych, obiecuje być ciekawą i pod względem historycznych okazów taką, jakiej nie oglądaliśmy dotąd. Zobaczymy to wkrótce, dzisiaj zaś przypuszczać można, że oddziałem, budzącym największe zajęcie, będzie niewątpliwie Watykański. Zbiory papieżkie mieszczą takie rzeczy cenne, jakich nie posiada żaden dwór królewski. Koronki, naprzykład, są tam takie, że je unikatami nazwać trzeba, tak pod względem gatunków, jak doskonałości wyrobu i wzorów. Kiedy zwrócono się do Papieża z prośbą, aby zbiory watykańskie ubogaciły wystawę włoską, przystał na to od razu, ale z zastrzeżeniem, aby wyznaczono dla nich oddział osobny, tak, jak to uczyniono dla okazów francuzkich. Francya bierze udział w wystawie rzymskiej z inicjatywy paryzkiego Stowarzyszenia Sztuki Dekoracyjnej. Że wogóle wystawa będzie godną widzenia, szczególnie dla tych, którzy starą sztukę znają i ro-

zumieją, których smak artystyczny jest wyżej wykształcony — wątpliwości nie ulega.

Wracając znów do Zbiorów Watykańskich, dodaj tu potrzeba, że zostały one świeżo z bogactwa niepospolitym dodatkiem. Stowarzyszenie pań weneckich ofiarowało Papieżowi przepyszny welon koronkowy, wykonany we wskrzeszonej szkole koronek na wysepce Burano. Pisaliście o tem, o ile sobie przypominam, przed kilku laty, jak szlachetna pani jedna, chcąc ożywić ten przynysł starożytny, mogący dać chleb ubogiej kobiecie włoskiej, odszukała wśród ubogiej ludności Burano staruszkę jedną, która zapamiętała jeszcze od matki swojej otrzymany sekret wyrobu „point Burano“ i w ten sposób zdołano odtworzyć zaginioną sztukę tej gałęzi średniowiecznego koronkarstwa. Ów welon ofiarowany Papieżowi jest kopią sławnego welonu Rezzonico, który przez zakonnice weneckie został wykonany dla Klemensa XIII-go do kościelnego użytku i który obecnie znajduje się w skarbcu rodzinnym dynastji Sabaudzkiej i bywa niekiedy noszonym przez królową Małgorzatę w czasie wielkich uroczystości państwowych. Szkoła koronek w Burano już poraz czwarty wykonywa ten wzór sławny. Pierwszy raz było to dla Londyńskiego Muzeum Sztuki Kensington Museum, drugi raz dla księżny Hamilton, raz trzeci dla pięknej młodej Amerykanki M-rs Astor, żony ambasadora amerykańskiego w Rzymie. Obecnie ofiarowana Leonowi XIII tuwalnia, płacona była tysiąc dwieście lirów za łokieć.

Do bieżących ciekawości rzymskiego świata, należy signora Maretta, która świeżo przybyła do Rzymu — z Abissynii! Miała ona u królowej Małgorzaty posłuchanie, na żądanie samej królowej — jak tu mówią — bo pani ta, jak łatwo zrozumieć, pragnęła dowiedzieć się, jaknajwięcej o tych krainach afrykańskich, które złączyły się w tak bolesny sposób ze wspomnieniem tragicznych wypadków pod Massawą. Signora Maretta właśnie przed katastrofą opuściła Afrykę; jestto kobieta bardzo skromna i cicha, ale odważna i, jak zobaczymy, tklivego serca. Nie puszczała się ona za morze w jakichś celach naukowych odkryć, lub tak, jak turystki angielskie, pchana ciekawością nowych widoków krain i ludzi. Mąż jej jest rzemieślnikiem — stolarzem. Ten się awanturczo rzucił w dalekie strony, szukając tam fortuny, jaka obecnie niełatwo daje się pozyskać w starej Europie. Po wielu rozmaitych kolejach, wypadek zbliżył go do negusa Abissynii, którego łaski pozyskał, zrobiwszy mu bardzo ozdobny tron. Osiedlić się na jego dworze, było to wejście na drogę do majątku. Napisał więc do domu, że postanawia pozostać na dłuższy czas w Afryce; serce żony ścisnęła tęsknota: i puściła się żona za mężem w te nieznane strony świata, choć, jak przyznała się królowej Małgorzacie, bardzo się lekła murzynów, których sama powierzchowność tak ją straszyla, że długo nie miała żadnej noży spokojnej, bo wciąż śniła, że murzyn zakradł się gdzieś do jej chaty i wynurza się z cienia. Powoli jednak przyzwyczaiła się i przez kilka godzin opowiadała królowej o zwyczajach i rodzinnych obyczajach Abissyńczyków, o doli ich kobiet i małżeńskim ich pożyciu, o zawieraniu związków ślubnych. Signora Maratti przywiozła z Afryki mnóstwo drobnych przedmiotów, które ofiarowała królowej, wiedząc, że ją to zajmuje; żadnej zapłaty, żadnego wynagrodzenia nie chciała przyjąć przecież.

Że przez to zajęcie się królowej kobieta ta stała się modną, obkoczyło ją mnóstwo nietylko lam włoskich, ale i reporterów, można też spostrzeżeć się niedługo książki, a przynajmniej artykułów dziennikarskich, których będzie heroina.

Królowa Małgorzata, która jest tu kochana, a gorącą miłość Włoch wierzą ludzie wszystkich partyi, z której piękności, dobroci, a nawet świętnych i wielce gustownych toalet są dumni wszyscy, od arystokracji, aż do prostego ludu na Trastevere — spotkała się przecież z wielkim zawodem jednym: jako literatka zrobiła *fiasco!* Może pozadrościwszy sławy Carmen Sylwii, napisała i wydała kilka powieści, które jednak nie wyrobiły sobie królewskiego miejsca w literatu-

1) „Pamiętniki Ludwika Szczańckiego.“ Poznań u Kamińskiego 1863, str. 144.

rze. Niedawno krążyła w pewnych kołach, bliższych dworu, wieść, że królowa pisze nową powieść: *Awantury*, i że ją nawet oddała już do druku; przecież książka nie ukazała się między nowościami, a nawet nie wspominał o niej katalog żaden. Na balu w ambasadzie francuskiej, danym w czasie karnawału, ambasador gospodarz chcąc stać się szczególnie miłym królowej, zwrócił rozmowę na ten przedmiot, wyrażając swój żal i zarazem żal ogólny publiczności, że ukazanie się jej dzieła tak się opóźnia.—Większe byś pan miał zmartwienie, gdyby książka, już wyszła—rzekła królowa, bo w tej oto chwili, męczylbyś się bardzo nad trudnym komplementem dla autorki.

—Ale nie lękaj się pan, już cię to nie spotka—dodała z wesołym uśmiechem. Gdy już wykończyła moje *Awantury* i kazała je przepisać bardzo pięknie, posłałam rękopismo do jednego z dzienników, naturalnie pod przybranym nazwiskiem. Ale, niestety, zwrócono mi moje arcydzieło ze złowieszczym napisem u góry: „Cestinato“ (odrzucone). Królowa, przyznała się, że ją to wielce zmartwiło, ale dodała z uśmiechem:— „Muszę już poprzestać na jednej koronie i nie sięgać po drugą — laurawą!”

Królowa Małgorzata jest naszą wielką przyjaciółką; gdy dzienniki, opisując okrutne wypadki trzęsienia ziemi w pasie Riwieri, doniosły co się działo w San-Remo, bardzo się troszczyła o Kraszewskiego.

Do wypadków zaznaczających się w sferach tutejszego arcyzmu, zaliczyć trzeba wystawienie opery Berlioz'a: „Damnation de Faust“ z włoskim libretto, napisanem przez signora Gentili. Orkiestrą dyrygował Pinelli, partye solowe wykonywały najlepsze tutejsze siły: Cotogni, baryton (Mefistofeles), Signoretti, tenor (Faust) i młoda, miłutka, bardzo utalentowana śpiewaczka Bice Mililotti, mezzo-soprano, w roli Małgorzaty. Przepowiadają jej wielkie rozwinięcie głosu i sławę europejską. Jest bardzo ładna, gra dobrze i całość wzięcznie się przedstawia.

Z rzeczy literackich budzi tu wielkie zajęcie, jako nowość, miesięcznik dla kobiet, wychodzący w d. 15-tym każdego miesiąca, a o którym, oile mi się zdaje, wspominaliście już, gdy wydawnictwo zapowiedzianem zostało: *La Rassegna degli Interessi Femminili*. Pierwszy numer zrobił wrażenie bardzo dobre, zwłaszcza artykuł pióra redaktorki, signory Fanny Zampini Salazzaro, pod tytułem: „Stanowisko kobiety włoskiej“. Pisany dobrze, pięknym, szlachetnym stylem, zawiera również piękne i szlachetne myśli, jak naprzykład:

„Kobieta jest obywatelką swego kraju i to jest pierwsze jej zobowiązanie, które przynosi ze sobą na świat, rodząc się do życia i działania na ziemi, której grunt stary wyhodował tyle poprzedzających nas pokoleń. Przeznaczeniem jej prze-ważnym jest praca w rodzinie, co przecież nie zmienia jej położenia względem ojczyzny, na której świętej służbie pozostaje tam ona niemniej, jako matka, wychowująca dziecko, jako żona i towarzysząca mężczyźnie. Oddziaływanie jej jest wielorakie i potężne; powinna też wyrobić w sobie głębokie i stałe przekonania moralne, powinna podnieść wysoko ideały swe życiowe, rozwijając przytem silnie uczucie religijności, aby zwalczać w narodowym życiu Włoch, szerzący się materializm—aby uchronić przed zaturaniem ten gorący dotąd i ofiarniczy patriotyzm włoski, przez który w walce z Austryą zwyciężyli Włochy”. Oto treść artykułu i razem programat Signory Salazzaro, wykazującej, jakiej drogi trzymać się chce i jakie stanowisko wyznacza pióru swemu wśród peryodycznej literatury włoskiej.

Niewątpliwie uznacie kierunek jej za dobry, bo ten to jest, którego się trzyma pismo wasze.

Dopełnieniem poprzedniego jest artykuł Angielki, przebywającej zimę w Rzymie, Wiliamowej Grey: „Kobieta i cywilizacja.“ Zawiera on wiadomości o różnych stowarzyszeniach i zakładach kształcących kobietę, a powstałych w ostatnich piętnastu latach i zbijających zwycięzko błędne przekonanie przeszłości, jakoby wyższa kultura umysłu odbierała kobiecie jej kobiecość. „Głos mój—pisze ona—to głos kobiety podeszłej już w lata, która, zubożona przez doświadczenie ży-

cia, może ręczyć młodszym swym siostram, że wiedzieć więcej nie znaczy to spaczenia myśli i odbiegnięcia od przyrodzonych i przez naturę przeznaczonych kobiecie obowiązków, ale sposób to tylko lepszego, głębszego, ich zrozumienia, wyższego, głębszego ich uszanowania. Największym szkopułem, o który się rozbija życie, szczęście i godność bardzo wielkiej liczby kobiet, to płochość ta i lekkość, która każę kobiecie uważać się za istotę stworzoną do zabawy i używania przyjemnych tylko wrażeń życia. Choć na różnych stanowiskach, przecież jednakowo muszą się znoić w pracy czoła mężczyzn i kobiet, i to jest szlachetną emancypacją, aby tak w życiu samotnem, jak w związku małżeńskim, kobieta podniosła się nad próżniactwo istnienia ładnej lalki,—nad pożądanie życia zbudowanego całkowicie kosztem pracy i trudu mężczyzny. W pracy mężczyzny i kobiety istnieje podział, ale powinna być równość dźwiganych ciężarów.”

Interesującym, choć treściwym jest higieniczny szkic Dr. Maryi Velleda Farne, przybocznej lekarki królowej Małgorzaty. Można by rzecz zatytułować: „obowiązek dbałości o zdrowie nasze”... przecież Dr. Velleda dała pracy swojej inny napis: „Moralność i estetyka w higienie.“

Uczony prawnik, Massimo Colletto, który w Uniwers. Rzymskim wykładał w roku zeszłym o prawach między małżonkami, dał rzecz bardzo pouczającą: „Kobieta wobec prawa włoskiego“. Dalej czytelnik znajduje ciekawą rozprawę „o różnicy wagi mózgu kobiety i mózgu mężczyzny.“ dalej jeszcze: „Sztuka w życiu kobiecym.“ Wiersz okolicznościowy: „Kobieta i życie“. Powieść dopełnia całości, przez której treść redaktorka usiłowała wykazać stanowisko nowego czasopisma: postępowe w tem, co postępu potrzebuje, a jednak nienaruszające tego, co z natury rzeczy jest nienaruszalnem, jako stały grunt życia kobiety w ludzkości, ojczyźnie i rodzinie.

La Rassegna mieści i dodatek gospodarczy, podobny do tego, jaki się znajduje w piśmie waszem.

W...

PODRÓŻE.

Przekopanie międzymorza Panama

przez

G. de Molinari.

Genialny inżynier francuski Ferdynand Lesseps, słynny zbudowaniem kanału Suezkiego oddzielającego Afrykę od Azji, postanowił również rozdzielić ląd Ameryki północnej od południowej przez przebicie międzymorza panamskiego i jako kierujący robotami odbył tam niedawno podróż. Współtowarzysz G. de Molinari, główny redaktor „Journal des Economistes“—skreślił opisanie tej podróży, które w streszczeniu poniżej podajemy.

Gdyby przebicie międzymorza panamskiego było przedsięwzięciem w czasach kwitnienia malarstwa mitologicznego, z pewnością malarz chcąc przedstawić na płótnie wielką walkę przemysłu ludzkiego z brutalną siłą natury, takby ją wymalował: Z jednej strony straszego olbrzyma opierającego się o Kordyliery, u stóp którego płynęła-by błotnista, rojąca się od kaimanów rzeka; grupę czarownic uosabiających rozmaite choroby, jak: żółta gorączka, dysenterya i t. p.; lasy nieprzebyte, w których czołgają się jadowite węże, skorpiony i inne płazy; z drugiej strony—naukę opartą o stolicę a wysyłającą całą armią robotników przeciwko temu olbrzymowi i jego służalcem.

Towarzystwo zajmujące się przebicciem Kanału Panamskiego kierowane jest przez radę pozostającą w Paryżu pod przewodnictwem niezmodowanego Lesseps'a, a składającą się ze znakomitości naukowych i przemysłowych. Na miejscu

robotami kierował dotąd Boyer, młody lecz już sławny inżynier, który przed niedawnym czasem uległ strasznej chorobie, jaką jest żółta gorączka.

„A tout seigneur tout honneur”—pisze p. Molinari—przede wszystkim należy oddać pierwszeństwo machinom. Doprawdy trzeba mieć wyjątkowe pióro, aby opisać te olbrzymy w postaci świrdów (drague) i wydrążaczy (excavateur) zastępujących ludzi i łopaty. Przed dwudziestu laty największa machina tego rodzaju, przy robotach Kanału Suezkiego, nie była w możności przebić więcej nad 1,000 metrów sześciennych; obecne usuwają od 4,000 do 7,000 metrów, jeżeli grunt nie jest zbyt opornym. Skutkiem częstego psucia się maszyn, przyjąwszy średnią liczbę 3,000 metrów, to znaczy, że potrzebaby 1,000 robotników z łopatami a nawet jeszcze więcej,—gdyż w tym gorącym klimacie najlepszy robotnik niejest zdolnie więcej nad 2½ metra wykopać—ażeby zastąpić jedną taką machiną poruszaną siłą pary. Świdry te mogą pracować jedynie w wodzie, a gdy łożysko kanału jest głębokiem na 3 metry, wtedy należy się uciekać do wydrążaczy. Machiny te zaopatrzone są w kilka, albo też tylko w jeden olbrzymi kubeł, uzbrojony zazwyczaj w zęby któremi wyrwa za jednym zamachem metr sześcienny ziemi, a następnie wrzuca ją do wagonu lub wprost na brzeg, jeszcze inne zaopatrzone są w odsuwacze, które wydobytą ziemię przenoszą na odległość 50 lub 60 metrów. Maszyny te funkcjonować mogą jedynie w gruncie miękkim. Skały i grunt kamienisty muszą być rozsadzane za pomocą prochu lub dynamitu. Na szczęście jednakże te ostatnie napotykają się tylko wyjątkowo. Dla usunięcia wykopanej ziemi, zapomocą 32 świrdów i 82 wydrążaczy, które znajdowały się w międzymorzu, potrzeba około 300 lokomotyw, tysiąca wagonów kursujących po relsach, mających około 500 kilometrów długości, 16 statków parowych o dnie ruchomem. Lecz to jeszcze nie wszystko. Trzeba było zbudować warsztaty służące do naprawiania i budowania tych machin, a także szpitale, czyli również warsztaty przeznaczone do reparowania zdrowia robotników; dalej trzeba było wybudować dla nich mieszkania higieniczne i wygodne, aby ludzie przybywający z całego świata, zarówno biali, brązowi, jak i czarni, byli ochronieni od zgubnego wpływu tamtejszego klimatu; kto bowiem decyduje się spać pod gołym niebem, powinien być przygotowanym na to, że może już więcej nie powstać. Wszystko to wykonane zostało według wymagań nauki, nakładem kolosalnych kapitałów i największych poświęceń.

Zsummuwawszy siłę mechaniczną, jak tam zostaje zużyta na przetrzeni która ma być przekopaną, zobaczymy, że wyrównywa ona siłę pół miliona ludzi. Jeżeli dodamy pracę wykonywaną przez ludzi, a niezbędną przy machinach wszelkiego rodzaju, nabierzemy pojęcia, ile te przygotowawcze roboty, które już w znacznym stopniu posunęły olbrzymie dzieło, pochłaniają pieniędzy.

Przed rozpoczęciem robót powiedziano Lesseps'owi: Jaktó! zamierzasz zgromadzić w kraju bezludnym prawie 15 do 20 tysięcy robotników i nie pomyślisz: w jaki sposób ich żywić i przyodziewać; czyż w ten sposób nie narażasz ich na katastrofę, na samą myśl której dreszcze przechodzą? Twój robotnicy powymierają z głodu, albo będą eksploatowani przez wyzyskiwaczy, którzy najniezbędniejsze potrzeby do życia zbywać im będą jedynie na wagę złota.—Na to Lesseps odpowiedział: „Jednym z artykułów traktatu z rządem Columbii jest to, że przez cały czas trwania robót nie będzie pobierał cła od wchodzących towarów, i że handel w międzymorzu będzie zupełnie wolnym. Nabyłem doświadczenia w Egipcie, co znaczy wolność handlu: pomieściłem tam w pustyni tysiące ludzi, nie kłopotując się wcale o ich wyżywienie. Robiłem jedynie to, żem im płacił. A jednak nigdy na niczem nam nie zbywało. Bądźcie spokojni: w Panamie również na niczem zbywać nie będzie. I w rzeczywistości tak się stało. Wolność handlu ściągnęła do międzymorza właścicieli hoteli i sklepów ze wszystkich krańców świata, zarówno

z Włoch, Niemiec jak i Chin, z zapasami najrozmaitszymi. Obiadowałem w hotelu za piasra (4 franki), jakby w najlepszej restauracji paryskiej; kupowałem w sklepie pół tuzina krawatów za 2 franki.— Czyż pan de Lesseps nie miał słuszności, wierząc w doniosłość wolności handlu?

Zrekrutowanie robotników również nie przedstawiało wielkich trudności. A jednak nie było to łatwym zadaniem zebrać taką armię pod dowództwem inżynierów w kraju, gdzie człowiek jest pozabawiony wszystkiego tego, co czyni życie łatwym i przyjemnym: Mimo to robotnicy i inżynierowie znaleźli się. Z początku była to mieszanina, złożona z awanturników i wyrzutków, potrosze jednakże zaorowadzano porządek i dziś Towarzystwo może się poszczycić swą armią. Władza zwierzchnia składa się z 670 Europejczyków w tej liczbie 530 Francuzów. Bardzo wielu z nich pracowało przy Kanale Suezkim i z dumą przypominali się Lessepsovi, który ścisła ich serdecznie za ręce. Inni przybyli z Senegalu, inni z Brazylii, a liczba przybywających z rozlicznych stron świata, jak z Jamaiki, Columbii, Wenezueli, Stanów Zjednoczonych, a także z Chin i Indyi, zwiększa się z każdym dniem. Wystarczyło przyrzeczenie im sowitego wynagrodzenia, a co ważniejsza, dotrzymanie słowa. Trzeba przyznać, że spokój najzupełniejszy panuje w tych falangach złożonych z ludzi białych, żółtych brunatnych i czarnych. Żadnych walk, a klótnie bardzo rzadko się zdarzają.

Kiedy czytelnik nabral wyobrażenia ogólnego o narzędziach i ludziach jako materyale przeznaczonym do przekopania międzymorza Panama, możemy się przyjrzeć, jak to wszystko wygląda przy pracy.

Wielkie trudności, jakie przedstawia przekopanie międzymorza, pochodzą głównie z powodu wielkiej odległości od Europy; brak wszelkich środków na miejscu i szkodzi również nieprzyjazny klimat. Trzeba było wielkim kosztem przewieźć maszyny i ludzi i dokładać wszelkich starań o ich dobrobyt, aby mogli jaknajdłużej być użytecznymi, i temsamem uniknąć nowych kosztów transportu.

Przedewszystkiem zwiedziliśmy szpital w Colon, pod wszelkimi względami wzorowo urządzone, dalej warsztaty, mogące nie tylko reparaować zepsute maszyny, ale w znacznej części wykonywać nowe, a następnie zabraliśmy się do inspekcji samych robót, która nam zajęła kilkanaście dni.

Lesseps i jego towarzysze przepływają w szalupie Tox-River, odnogą morską, która odgranicza od lądu stałego wyspę Manzanillo, a gdzie położonym jest Colon wraz ze swą przyległością, zwaną Krzysztof-Kolumb, a ztąd udają się na zwiedzenie źródeł rzeki Chagres, o której kilka słów w tem miejscu powiedziec wypada. Jeżeli przyjrzeć się mapie międzymorza, to łatwo zauważyć, że zarys jego w wielu miejscach przecięty jest biegiem rzeki nadzwyczaj krętej; jestto rzeka Chagres. Nidosyc, zetworzy ona niezliczone skrzyty, lecz prócz tego sprowadza kompletne powodzie.

Wiadomo zapewne czytelnikom, że rok dzieli się tu na dwie pory, na tak nazwaną suchą (verano), który trwa od Grudnia do Maja; i deszczową (invierno), który jest zarówno porą roku gorącą—rozdziela je tak zwana (veranito), przypadająca w Czerwcu, w którym pogoda jest najpiękniejszą. W okolicach Atlantyku, gdzie rzeka Chagres głównie toczy swe wody, w przeciągu jednego roku ilość spadłego deszczu, według deszczomierza (pluviometru), wynosi 3 metry; w 1882 było go 3,15 a pewnego listopadowego dnia ilość ta dosięgła 165 milimetrów. Tu leży powód wezbrania i wylewów rzeki Chagres, które często dochodzą kolosalnych rozmiarów. Rozumie się, że niepodobna było pozostawić kanału na łasce tego nieprzyjaciela. W tym celu wykopano dwa nowe łożyska, jedno z lewego brzegu rzeki a drugie z prawego, do którego wpływa wielka ilość małych rzeczek, i połączono je bocznymi kanałami. Prócz tego wypadnie zapewne wykopać rezerwoar, w rodzaju jeziora, któryby mógł pomieścić miliard metrów sześciennych wody.

Nazajutrz zwiedziliśmy ujście kanału. Wsiadliśmy na statek parowy, za którym płynęła cała flotylla szalup, poruszanych siłą pary, i łodzi żaglowych, i wpłynęliśmy do kanału, już wykończonego naprzestrzeni około 15 kilometrów, t.j. prawie piętej części całej długości, który wynosić będzie 74 do 75 kilometrów. Kanał Panamski, podobnie jak Suezki, będzie miał 22 metrów szerokości a 9 głębokości, ujście zaś w zatoce Limon, wynosić będzie do 100 metrów szerokości. Przejeżdżając, mijaliśmy świdy morskie, które pogłębiały kanał i statki o dnie ruchomem do wywożenia ziemi. Rzeka Chagres, która jest w tem miejscu tak szeroka jak Sekwana, oddała przynajmniej tę usługę, że na jej wodzie można było przywieźć kolosalne maszyny szkockie i amerykańskie, funkcyonujące w tych miejscowościach.

Płynąc, spłoszyliśmy całe stada ptaków wodnych: czapli i pelikanów, zestrążyliśmy kaimanów przemieszkujących w rzece, zjedliśmy śniadanie w Gatun a następnie udaliśmy się do miasteczka Krzysztof Kolumb.

Po odpoczynku w Niedzielę wyjechaliśmy do Panamy koleją żelazną.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Lutym 1887 r.

W dalekiej ziemi słowiańskiej, u stóp Bałkanów, w ziemi zroszonej krwią Warneńczyka, gdzie lud długie wieki dźwigał brzemię jarzma tureckiej niewoli, powstała ludowa klechda o roślinie nieszczęścia. Gdzie roślina ta raz krzewić się zacznie—mówi lud pod Bałkanami—tam już spokój nadługo, nadługo odleciał; roślina ta odbiera go ludziom... to jej właściwość. Ale jest jeszcze i druga właściwość, również niezwykajna, a trwoga przejmująca każdego śmiertelnika. Roślina ta, raz rozkrzewiona, nie łatwo wypłenioną być może. Tysiącem korzeni wije się wśród gleby, gdzie urosła i nikt jej bez szczególnego zaklęcia wytrzebić nie zdoła. Odcięta łodyga odrasta wciąż, sturamiennie korzenie podsycają jej życie napozór zamarłe... Taka „roślina nieszczęścia“ pono nie tylko za Dunajem urasta i pełni się—my ją również posiadamy.

Jeszcze nie przesunęły się ostatnie smutne twarze poznańskich banitów, szukające pod naszymi strzechami przytuliska, a pod naszym niebem pracy i chleba; jeszcze nie przebrzmiały echa pogródek, rzucone z niemieckiej trybuny ku polańskim ziemiom, echa zaprzysiężonej zguby słowiańskiemu światu przez zdziczały germanizm, gdy nowe źdźbła rośliny nieszczęścia kielkować znowu zaczęły... Krzewi się ona wciąż szerzej i szerzej, dalej i dalej; słowo zaklęcia dla niej znać nie wynaleziono... Zapytany mieszkaniec zpod bałkańskich stoków o słowo zaklęcia, powiada, że nie wszędzie jednakie, dla różnych ziem różne. Dla nas, nam podobno znane, to: praca, oszczędność, rozbrat z lekkomyślnem zabaczeniem o swych obowiązkach w szerokim, w najszerszym ich zakresie... Czyśmy już zaczęli używać słowa zaklęcia? Nie wiemy; znać jeszcze nie, bo bieda się sroży, a że pojedynczo nie chodzą, tylko gromadnie, więc do klęsk dawnych przybywają różne nowe objawy bied społecznych. Napozór tu tego nie widać, bo dziennikarstwo tutejsze więcej polityką zewnętrzną, a więc kwestyami dla nas obcymi, bawi się, niż biedą domową, i nie regestrjuje tak pilnie objawów naszego życia, jak to dzieje się u nas w warunkach stokroć gorszych. Nie mając więc ciągle przed oczyma całego wykazu faktów dodatnich i ujemnych trudno bez tego bilansu orientować się. Regestrowanie ścisłe objawów życia ujemnych i dodat-

nych, czuwanie nad polepszeniem stosunków, mogłoby niejednemu zaradzić. Tego się jednak nie czyni... Łódź życia bez wiosła i steru płynie ku nieskończoności, od fali do fali, bez żadnej dłoni, ktoraby nią kierować mogła... Czasami i dzienniki rzuca myśl jakiegoś antydotum na biedę społeczne, te jednak antydotum pospolicie są bezskuteczne... Albo projekta opierają się nazbyt chwiejnych podstawach i z rzeczywistością niewiele mają wspólnego, lub też brak wytrwałości—owa stara nasza choroba—staje nam na przeszkodzie do urzeczywistnienia, bodaj cząstki z licznych projektów... Rady więc i napomnienia ksiąg i prassy idą w zapomnienie, a łódź naszego życia, jak płynęła, tak i dalej płynie... bez steru i wiosła...

Na różne antydotum teraz na świecie pokup wielki; wszędzie o nie pytają, sądząc, że można tak łatwo zażegnać te lub owe klęski, usunąć następstwa oddawna spadłych ciosów lub odwrócić wiszące nad naszą głową miecze Damoklesowe. Nawet krytyka teatralna wyszukuje w nowych utworach dramatycznych właściwości, któreby były receptą na wszystkie biedy społeczne. Tak w roku ubiegłym niektórzy teatralni sprawozdawcy zapatrywali się na nowy twór Ad. Asnyka, p. t.: „Bracia Lerche“, czyniąc mu poniekąd zarzut, że nie podaje środka usuwającego germanizm znad Warty... Utwór ten dramatyczny, osnuty na tle stosunków naszych w Wielkopolsce, na rubieżach wpływu niemieckiego, wywołał tu w swym czasie niemałe wrażenie i obudził objawy żywej sympatii dla powszechnie cenionego autora. Nie szczędzono mu oznak uznania; dzienniki tutejsze wszystkich barw, chociaż pospolicie zbyt się unoszą względami partyi, obozów politycznych, na chwilę zapomniały o kotejnych swarach, o nieszczęsnej polityce, i w dość zgodnym chórze wypowiadały słowa nader przychylniej krytyki. Prasa codzienna oddawna zapewne szeroko wam opowiedziała o tej podniosłej komedyi, która była niejako „ewenementem“ dnia u nas w ciągu kilka tygodni zeszłorocznego, wiosennego sezonu. Szpalty dzienników zapełniano sprawozdaniami o przedstawieniach, lub o wartości utworu, a w większych, czy też mniejszych kołach towarzyskich „Bracia Lerche“ stawali się tematem rozmów. Chwila obecna, chwila przedłużających się do nieskończoności klęsk baniejnych w Poznańskim, dziwnie się nadała do obudzenia większego zainteresowania się utworem utalentowanego pisarza.

Teatr nasz podczas ubiegłego sezonu posiadał i inne nowości, które witał na swej scenie. Mamy w świeżej pamięci parę komedyi Stan. hr. Rzewuskiego, który, chociaż na obczyźnie wzrósł, pierwociny swych autorskich usiłowań zwykł składać na własnej ziemi. Przed paru laty przywoził on tu i stawał na krakowskiej scenie „Optymistów“; w ubiegłym sezonie miał Kraków możność widzieć na swej scenie dwa nowe jego utwory: „Doktor Faustyna“ i „Potrzebne grzeszki.“ W utworach młodego pisarza ujawnia się rzeczywisty talent i znajomość warunków scenicznych; niemniej jednak widz, krajowiec, wychodząc z owych przedstawień, wynosi wrażenie, że wśród cudzoziemskiej atmosfery wychowywał się autor tego „Doktora“ i tych „Grzeszków“, zaiste, wcale „niepotrzebnych“. Kształcąc się nad Newą, na wzorach znakomitego tamecznego dramaturga, Ostrowskiego, przejął się autor „Potrzebnych grzeszków“ sposobami widzenia rzeczy krajów hyperborejskich, zasmakował w swobodzie bezbrzeżnej odsłaniania ran społecznych, w której lubuje się publiczność gdzieindziej.

Nasze społeczeństwo, pomimo wielu swych ujemnych stron, nie nurza się w bagnie takiej nędzy moralnej, jaką młodzieńki autor stawia w swych „Potrzebnych grzeszkach“ przed oczyma widza. Bardzo być może, iż wyuzdanie tak bezbrzeżne, kędys na skrajach społeczeństw cywilizujących się, istnieje, lecz i tam ma ono swój kres, swój wstyd, nie odmyka naocześnie drzwi domu swego, aby całe forum przeglądało się w jego wnętrzu, a instynktownie niejako chroni się ze złem, gorszącem, od ludzkiego oka. Typy spotykane w „Potrzebnych grzeszkach“ nawet owego instynktownego sromu są pozbawione dopraw-

dy więc nie rozumiemy, dlaczego mają to być typy tak dalece nasze, iż autor stawia je na gruncie swojskim. Są one bezzaprzeczenia cudzoziemcami przebranymi tylko w polskie nazwiska... I znowu takich cudzoziemców w obecnym zimowym sezonie, przywiózł nam autor „Optymistów“ w swym nowym dramacie nap. „Bez pieniędzy“. Doprawdy, nie rozumiemy dlaczego w naszym języku te rzeczy opracowują się... Dla innego piśmiennictwa byłyby one właściwsze...

Wierząc w pracę, talent, dobrą wolę autora, nie wątpimy, iż się z czasem otrząśnie z cudzoziemszczyzny, pilniej przypatrywać się będzie obyczajowi własnego społeczeństwa, szukać go zacznie, nie poza miedzą jego siedzib, ale pod jego własną strzechą, kształcić się nie zaniedba na wzorach własnego dramatycznego piśmiennictwa i z czasem urośnie na swojskiego pisarza. A wówczas, wówczas, nie przywiezie do nas zapewne „Grzeszków“, które nigdy nie są potrzebne, ale coś bardziej wzniosłego, mogącego podnieść, uszlachetnić społeczeństwo, nie zaś ciskać jedynie iskry zgorszenia do wyobraźni nieletnich widzów...

Kilka słów prawdy rzucamy na ścieżkę zawodu młodziutkiego autora, spodziewając się, iż może będą dla niego zachętą do rozpoczęcia studyów wśród własnego społeczeństwa, a zerwania z cudzoziemszczyzną i jej wzorami.

Zcudzoziemczenie—ów niebezpieczny pasożyt, gnieźdzący się wśród naszego społeczeństwa—i tu nawet, na krakowskim bruku, przejawia się z całą mocą, tu może częściej, niż gdzieindziej, przeszkadzając do jasnego pojęcia obowiązków i poznania własnego kraju, potrzeb, właściwości, bied, radości i środków zaradzenia klęskom... Ztąd więc wytwarzają się u nas większe anomalie, niż gdzieindziej, ztąd urasta obojętność dla instytucji, które mogłyby przynieść tę lub ową korzyść społeczeństwu... O przykłady, na nieszczęście, nie trudno... Przed kilku miesiącami w szpaltach „Bluszcza“, w korespondencyz Krakowa, podałem wiadomość o zawarciu w Cieszyńcu stowarzyszenia pod nazwą: *Macierzy Szkolnej Księstwa Czeszyńskiego*. Ogłaszając *urbi e. orbi* ten fakt tak ważny dla rozwoju naszego ludu na Szlaku Austriackim, mogący wytworzyć twierdzą broniącą naszą narodowość od nacisku germanizacji, od ostatecznego zniknięcia w fałdach niemiecczyzny, mniemaliśmy, iż głos nasz znajdzie oddźwięk w światłych umysłach niewiast naszych. Dotąd wszakże ten oddźwięk zbyt mały—żaden prawie... Ci, których to obowiązkiem nie pośpieszyli z pomocą dla Macierzy Cieszyńskiej... Wiemy dużo o obcych, troszczyliśmy się troską obcych krajów, obcych ludów, przeraża nas zgon Alfonsa Hiszpańskiego, płaczemy z radości i rozczulenia, iż taki-to pretendent do nieistniejącego tronu ożenił się z taką-to królową, gotowaliśmy grozy biednej, polskiej gley nieść w ofierze tam kędyś, do obcych, gdzie jakiś starzec wrzekomo prorocze wygłasza słowa, i za to chętnie dary przyjmuje... Przyczyną takiego zwracania się ku obcym sprawom, takiego szukania obcych ideałów, jakgdybyśmy nie mieli własnych trosk, potrzeb i ukochań naszych, jakgdybyśmy nie byli sobą, ale kimś innym—przyczyną, powiadam, jest nie innego, jak zcudzoziemczenie, od kolebki otaczające nas technieniem swych miazmatów... W starym, królewskim grodzie, w panteonie pamiątek narodu, gdzie człowiek powiniénby się czuć bardziej sobą, niż gdzie indziej, zcudzoziemczenie ma podścielisko wyborne. Francuzyczna brzmi w szerszych i mniej rozległych kołach; obce pojęcia, zasady, sposoby widzenia rzeczy rozpanaszają się na niwie naszej myśli... Swojszczyznę otacza obojętność, poczę-

ści z niewiadomości płynąca. Liczne, bardzo liczne są warstwy społeczne—u góry i u dołu narodu stojące—które nie znają ani swej ziemi, ani jej potrzeb, ani niedoli, co rdzą swą wiele już pożarła...

To zobojętnienie, w dawniejszych nieco latach i wśród starszych nieco pokoleń prawie zupełnie nieznanne, wywoływa obecnie dziwne objawy... Tym razem jednak nie rozszerza się w nich, milknie wasz korespondent, przenosząc swą myśl ku mniej smutnym faktom życia obecnego.

Chociaż różne przeszkody nie pozwalały mi już dość dawno pisać do was, niemniej jednak w kwestyi wydawnictw niewiele jest zaległości do zanotowania. Na pierwszym planie spotykamy wydawnictwa *Dzieł Józefa Szujskiego*. Najszybciej posuwa się w tem wydawnictwie druk I Seryi, którą prawdopodobnie zamknie T. V, będący obecnie pod prasą. W seryi tej, jak to już w roku zeszłym pisałem, zebrane są poezye i dramata Szujskiego; w obecnie zaś, przygotowującym się do druku, rzeczony seryi drukują się przekłady greckich arcydzieł dramatycznych. Są one w znacznej części przedrukami tłómaczeń ogłoszonych prawie przed ćwierć wiekiem, jak „Agamemnon“, tragedia Aischylosa, ale niektóre poraz pierwszy dopiero z pośmiertnej teki autora wyjęto.

Dział historyczny pomienionego wydawnictwa posuwa się dziwnie pomalą, czyli raczej od roku prawie znaku życia nie daje, co każe wnosić, iż całe przedsięwzięcie lata jeszcze trwać będzie. Zapewne wyjazd do Rzymu, dla poszukiwań archiwalnych, głównego kierownika tego działu, prof. Smolki, jest opóźnienia się przyczyną.

Prof. Stan. Smolka, który tu po Szujskim posiada katedrę literatury polskiej na uniwersytecie Jagiellońskim, udał się do Rzymu, jeszcze w początkach Października r. przesz., z kilku młodziutkimi pracownikami, słuchaczami tutejszej wszechszkoly, w celu poszukiwań w archiwach watykańskich, które odniedawna dopiero stały się dostępnymi dla badaczy.

Wyprawa badaczy archiwów, oile dochodzą nas wieści znad Tybru, pilnie wywiązuje się ze swego zadania i spotyka w Wiecznym Mieście dużo ułatwień. Spodziewamy się, że plon jej prac,—a potrwać one jeszcze kilka miesięcy—mały nie będzie. Wyprawa naukowa nie ma być jednorazowym usiłowaniem wysiłkiem pojedynczym; sejm krajowy uchwalił bowiem stałe subsydyum, które pozwoli i po powrocie jej obecnym prowadzić dalsze poszukiwania.

Wzmianka, którą tu czynimy o poszukiwaniach śladów naszego dawnego życia, przypomina nam iż wśród długiej, na miesiące liczonej przerwy w mej korespondencyi do „Bluszcza“ zaszedł fakt, przypominający to życie dawne, bardzo dawne, o którym to fakcie nie doniosłem wam. Pozwólcie, aby chociaż spóźnioną dał relację.

Rzecz się tak miała. W roku ubiegłym, x. biskup krakowski, Albin Dunajewski, podniósł myśl restauracyi katedry na Wawelu. Myśl poważna, z którą już niegdys Woronicz się nosił, kiedy przed kilkudziesięciu laty dzierzył krakowski pastorał, znalazła obecnie oddźwięk: na pierwsze wezwanie do ofiar w tym celu z dwóch stron, z dwóch różnych sfer datki złożono.

Dama wielkiego rodu i wieśniak wręczyli dość znaczne ofiary; jednocześnie zaś zawiązał się komitet restauracyjny, złożony z żywiołów celniejszych, znanych na polu sztuki i archeologii. Prace komitetu przygotowawcze posuwają się wciąż. Dla dokładnego obeznania się ze świątynią, ze stanem obecnym i wytrzymałością murów, potrzeba było sięgnąć do fundamentów, do podstaw prastarej budowy. W celu więc badań gruntownych czyniono pomiary podziemi i powiedziano

je, otwierano groby, podnoszono płyty pawimentu. Kiedy w drugiej połowie Stycznia b. r., podniesiono posadzkę kościoła w presbiteryum, przed wielkim ołtarzem, od strony ewangelii, o kilka stóp od miejsca, gdzie napis grobowy mówi nam o złożonych tam Jadwigi zwłokach, ukazał się grób, a w nim trumna drewniana. W trumnie spoczywały prochy niewieście, odziane w płaszcz królewski, a insygnia, jak berło i jabłko wskazywały, że zmarła była królową... Nie ulega wątpliwości, że to zwłoki Jadwigi... W trumnie która była zwykłą podłużną paką, wedle ogólnego obyczaju epoki, oprócz czaszki niewiele znaleziono kości; korony nie było ani śladu, a to berło i jabłko, o których wspomnieliśmy, z drzewa zrobione, nader marnej roboty, pozłacane nieco... Pierścienia, ani żadnych cenniejszych przedmiotów nie było w trumnie, co się tłómaczy z wycieczką ową doby która w XIV-tym i na początku XV-go wieku nie kładła zmarłym do trumny żadnych kosztowności. Czaszkę znaną w trumnie poddawano badaniom uczonego kraniołoga, profes. Uniw. Jag., d-ra I. Kopernickiego, który orzekł, iż jest to czaszka niewiasty młodej, pięknej, wielkiego hartu woli, jaką rzeczywiście musiała być ta, co szczęście osobiste poświęciła dla szczęścia swej ziemi, która podniosła ideały dobra publicznego stawiała ponad to wszystko, co mogło wytworzyć dla niej pasmo dni świetlanych... Po spisaniu protokołów, po odrysowaniu przez Matejkę resztek pozostałych w trumnie z cennego dla nas istnienia tej prawdziwie wzniosłej kobiety, złożono z należąca czią wszystko, jak było, do trumny i grób zamurowano.

W tymże samym czasie, w środku presbiteryum, nieco wyżej od grobu Kardynała Fryderyka Jagiellończyka, pod taflami posadzki, znaleziono grobowiec, zawierający trumnę, (raczej pakę drewnianą również prostą, bez ozdób, jak trumna Jadwigi. Wskazówki kroniki Długoszowej i ślady zbutwiałych szat biskupich, okrytych zgrzebnem płótnem, świadczą, że jest to trumna Kardynała Zbigniewa z Oleśnicy, owego przemożnego wpływu męża stanu, w młodości rycerza zpod Grunwaldu, męża, który kierował sprawami kraju za Władysława Jagielly, był wszechwładnym regentem państwa, za panowania młodocianego Warneńczyka, w pierwszych zaś latach rządów Kazimierza Jagiellończyka jeszcze miał swój głos nader poważny w radzie krajowej... I z tem odkryciem zrobiono toż samo, co z poprzednim. Spisano protokół, odrysowano głowę, co chociaż sędziwą do mogiły zstępowała, nie straciła jednak ani jednego zęba i dziś, po czterech przeszło wiekach, jeszcze posiada długie blond włosy... Na tych z prastarej przeszłości zacerpniętych wieściach, zamykam nadziś korespondencyą... Myśl, która choć chwilę krążyła wśród cieni XIV i XV stulecia, z trudnością zwraca się ku dniom obecnym, ku dniom wielkich prób, upokorzeń i bezbrzeżnej niedoli społecznej...

n.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 21-szy powieści pod tyt.: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ: U katafalku w kościele Ś-go Krzyża, poezya, przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Podczaszanka, Obrazy z przeszłości, (do Kraków). — List z Rzymu. — Podróże, przez G. de Molinari. — Korespondencya zagraniczna,

Dodatek obejmuje: Arkusz 21-szy powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 18 Марта 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg,

Szlak do robót kościelnych.

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 12.

Na szlak haftowany na grubym białym płótnie najpierw wykonać pasową sparzoną bawełną obwódki deseni przezroczystego (każdy ścieg płaski podwójną nitką, przez 4 nitki tkaniny). Po między figurami deseni należy opuszczać po 18 nitek tkaniny. Na większe figury przezroczyste należy podług wzoru pokratkować płótno, wywlekając na przemian po 5 nitek tkaniny, opuszczając po 2. Kontury obdzierać białymi grubymi niemi, krataczkę wykończyć ściegiem cerowanym a następnie wypełnić ściegiem koronkowym i pikotowym. Na te ostatnie igłę wpiąć w materiał jak do dziergania, poczem okręciwszy ją ze 12 razy niemi, wyciągnąć i zamocować nitkę zwyczajnie. W mniejszej ramce deseni wywlekać na przemian po 1 nitce, opuszczając po 2, a po obdzieraniu konturów jak poprzednio, każde 2 nitki luźne przerobić jednym ściegiem ukośnym. Deseni okalający ramkę pasową, wykonany jest ściegiem stębnówki. Na 8 nitek od poziomych brzegów ramek, rozpoczyna się szlaczek przezroczysty, na który trzeba wyciągnąć wzdłuż roboty żadaną ilość nitek, poczem pozostałe białą nitką przerabiać, ściegiem cerowanym podług wzoru. Sam brzeżek szlaku, oraz gałązki, haftują się bawełną pasową ściegiem wiedeńskim (krzyżykowym) i Holbeina.

Galon do sukien, koszyków i t. p. maszynowym haftem.

Rycina Nr 27 w Bluszcz. Nr 12.

Galon ten na białej serbskiej krepie, można również wykonać ręczną robotą. W tym celu deseni przerysować na materiał, środkowe figury wyhaftować atłasem naprzemian: jasno i ciemno-cieglastą filozelą, otoczyć je stębnówką, wypełnić ściegiem cerowanym złotą nitką i filozelą koloru ceglastego. Groszki wykonane są naprzemian niebieską, oliwkową i ceglastą filozelą. Z a b k i dziergane piaskową włóczką, wreszcie tło zarabia się pocztowym ściegiem i krzyżykami złotą nitką.

Frendzla wiązana robotą.

Rycina Nr 28 w Bluszcz. Nr 12.

Frendzla ta stosownie do swego przeznaczenia, może być wykonana z cienkiego sznurczka, bawełny lub jedwabiu. Rycina nasza przedstawia frendzlę z oliwkowego i koralowego kordonku, na podkładzie z grubych konopnych nici. Złożywszy we dwoje dwa kawałki kordonku mniej

więcej 2 metry długie, jeden oliwkowy, drugi koralowy, tą poczwórną nitką rozpocząć robotę sposobem następującym: Dwoma pierwszymi końcami wykonać na podkładzie 5 ściegów friwolitowych ciągle naprzemian: jeden ścieg z góry na dół, drugi z dołu do góry. Pierwszy i ostatni ścieg śpiąć śpilką, ażeby tworzyły małe łuki, takich łuków wykonać cały rząd, ciągle naprzemian, po dwa odmiennego koloru. Kolej 1: Tuż pod łukami położyć nitkę stanowiącą podkład i takową po kolei każdym końcem jedwabiu przerobić ściegiem friwolitowym, postępując od lewej ku prawej stronie. Kolej 2 jak 1. Kolej 3 (nitki będziemy oznaczać podług porządku, w jakim się znajdują po każdorazowym użyciu). Czwartą nitkę, oraz podkład 60 cent. długi, położyć ukośnie na 3, 2 i 1 nitce, poczem po kolei przerabiać takową ściegiem friwolitowym, 2 ściegi friwolitowe w jednym kierunku, 2 w przeciwnym, poczem ostatnią użytą nitką w ukośnym kierunku położyć na 3 i 4 nitce i znowu 2 ściegi wykonać podkład przeprowadzić do 1 nitki, razem z tą ostatnią położyć na 2 do 4 nitce i po kolei 2 ściegi friwolitowe *. Do pierwszych z następujących 8 nitek przywiązać nitkę podkładową, 10 cent. długą, położyć takową na 2 do 4 nitce, poczem 2 ściegi friwolitowe, podkład przeprowadzić do 1 nitki, z tą ostatnią położyć na 2 do 4 nitki, 2 ściegi friwolitowe, poczem do 8 nitki przywiązać podkład 10 centim. długi, położyć takową na 7 do 1 nitce i temi ostatnimi po 2 ściegi friwolitowe, podkład przeprowadzić do 1 nitki, razem z nią położyć na

3 do 1 nitce, po kolei 2 friwolitowe ściegi, poczem nitkę podkładową do 4 nitki przeprowadzić, z tą ostatnią połączyć, na 6 do 8 nitce położyć i po kolei po 2 ściegi friwolitowe wykonać, podkład przeprowadzić do 5 nitki, z tą ostatnią połączyć na 6 do 8 nitce położyć, poczem po 2 ściegi friwolitowe temi nitkami wykonać i od * powtórzyć. Przy każdym powtórzeniu nie parzystym, przywiązać 2 nitki podkładowe, 60 cent. długie, przy każdym następnym powtórzeniu 2 nitki 10 centim. długie. Kolej 4 i 5 jak 1; końce dłuższych nitek należy po lewej stronie roboty pozostawiać, końce krótszych nitek obcinać. Kolej 6: Pierwszą 2, 3 i 4 z pierwszych 8 nitek, 1 podwójny węzeł, następny podkład przerobić 4 do 1 nitki (każdy podkład należy po lewej stronie przeprowadzać do właściwego punktu) następnie położywszy go na następujących 4 nitkach, każdą z nich wykonać po 2 friwolitowe ściegi, poczem każdą z ostatnich nitek, przerobić każdą z pierwszych, poczem 4 razy naprzemian: pierwszą nitkę razem z podkładową nitką na 2 do 4 nitce położyć, poczem przerobić każdą po 2 ściegi friwolitowe *, środkowemi 8 nitkami z następujących 16 nitek wykonać 1 podwójny węzeł; następny podkład do 5, 6, 7 i 8 nitki przeprowadzić, położyć w kierunku ukośnym na następujących 4 nitkach i każdą z kolei wykonać po 2, poczem 4 razy naprzemian podkład razem z 8 nitką położyć na 7 do 5 nitce i po kolei każdą 2 ściegi friwolitowe wykonać, 9 do 16 nitki wykonać węzeł taki sam jak przedtem, przerabiając nitki w ten sam sposób w odwrotnym kierunku;

od * powtórzyć. Kolej 7 bez podkładu: * 2 razy 7 nitkę położyć na 8, z następujących 16 nitek i ostatnią 2 friwolitowe ściegi wykonać na 7 nitce, poczem 2 razy 5 nitkę połączyć na 6 nitce i ostatnią 2 friwolitowe ściegi wykonać na 5 nitce, następnie 10 nitkę położyć na 9 nitce i ostatnią wykonać 2 ściegi friwolitowe na 10 nitce, 10 nitkę położyć na 8, 7, 6 i 5 nitce i każdą po kolei 2 ściegi friwolitowe, 2 razy 6 nitkę położyć na 5, ostatnią 2 ściegi friwolitowe, w ten sam sposób 9 przerobić z 10 i 11 z następnymi do 7, poczem 2 razy 8 nitkę przerobić z 7, 11 z 12, wreszcie 4 do 1 po kolei, 4 razy naprzemian kładąc 1 na 2 do 4 nitki i przerabiając po kolei każdą 2 ściegi friwolitowe; 9 nitką do 16 wykonać taki sam węzeł, jak przedtem, poczem od * powtórzyć. Kolej 8: 1 do 4 nitki 2 podwójne węzły, * podkładaną nitką 3 i 4 nitką z następujących 16 nitek, oraz 1 i 2 schwyćć, 3 friwolitowe ściegi na pierwszych, następną podkładową nitkę przerobić, 5 i 6, oraz 7 i 8, 3 friwolitowe ściegi na pierwszych 6 i 6 nitką 1 friwolitowy ścieg na obydwóch podkładanych nitkach, tudzież na poprzednich przerobionych 6 nitkach,



Nr 1. Suknia z szorstkiego materiału. Przód. (Do ryc. 6) Opis pierw. str. tabl

Nr 2. Suknia z wełnianego materiału i sukna. Przód. (Do ryc. 9). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI. fig. 29 — 40.

poczem na każdą wypukłą figurę, 1 i 2 nitką, tudzież 7 i 8 5 podwójnych węzłów, mocno ściągnąć, przerobić z poprzedniemi 1 ścięciem friwolitowym, tworząc małą pętelkę; 1 i 2 nitką 5 friwolitowych ścięć, na 3 i 4 nitce, 7 i 8 nitką 5 friwolitowych ścięć, na 5 i 6 nitce, ostatniemi dwoma 1 ścięciem friwolitowym na obydwóch podkładowych nitkach i na 6 poprzednio przerobionych, tworząc znowu małą pętelkę, 5 podw. węzłów, tworząc 3 przeciwległą 1 pętelkę i wreszcie jeszcze jedną jak 2 z rzędu pętelka, poczem wszystkie 4 pętelki w środku zamocować jednym węzłem z oliwkowego jedwabiu. 9 kolej odpowiada 7 w odwrotnym porządku. Kolej 10 odpowiada 6, a 11 do 15, 6 do 10 kolei. Kolej 16: * 3 razy naprzemian: 1 nitkę z następnych 16 nitek, położyć na 2 do 4 i po kolei po 2 ścięci friwolitowe, poczem 3 razy naprzemian: 16 nitkę położyć na 15, do 13 przerabiając każdą po kolei 2 friwolitowymi ścięciami, następnie wszystkiemi 16 nitkami razem, 1 podwójny węzeł, przyczem do wiązania używają się pierwsze i ostatnie 2 nitki, środkowe zaś 12, stanowią podkład. Kwaściki z oliwkowego i koralowego koronku, uzupełniają frendzlę podług ryciny.



Nr 3. Serweta haftowana krzyżowym ścięciem. (Dł. 160, szer. 145.)

Serwetka haftowana krzyżowym ścięciem.

Rycina Nr 3 i 4.

Serweta 160 centimetrów długa, a 145 cent. szeroka, haftowana różnokolorową hamburską włóczką na szarej tkaninie wełnianej „Jawa“. Rycina Nr 4 przedstawia część deseni z oznaczeniem kolorów włóczki znaczkami, pod ryciną podanemi. Frendzla pasmanteryjna i cztery kwasty przymocowane na rogach serwety, uzupełniają takową podług wskazania ryciny.

Listwa nabijana haftkami i dziurkami metalowemi.

Rycina Nr 5.

Takie listewki zrobione są z perkalu czarnego, szarego lub białego i sprzedają się na lokcie, a służą do zapinania staników pod kamizelkami.

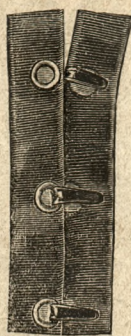


Objaśnienie znaków: ■ czarny, ■ różowy, * pasowy, ■ zielony, ■ pomarańczowy □ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, ' tło Nr 4 Deseń do ryc. 3 robotą krzyżową.

Suknia z kaszmiru.

Rycina Nr 14

Spódniczka kamlotowa 220 cent. obwodu w dole mająca, naszyta z lewej strony 80 c. wysoko aksamitem w deseń koloru bordeaux na jaśniejszym tle, oraz falbaną plisowaną tej samej wysokości, tylni brzeg tej falbany wycina się w ukośne klapki, które na lewym boku zachodzą na aksamitne przybranie. Sute tylnie upięcie uzupełnia spódniczkę. Staniczek przybrany jest również aksamitem w deseń i ukośnymi kłapeczkami podług ryciny.



Nr 5 Listwa zapinana na dziurki i koniki wbijane $\frac{2}{3}$ naturalnej wielkości.



stki, znajduje się pomiędzy dwoma narożnikami drugiej. Jedwabny sznurek z kółkiem i pęk pomponików sznelowych, uzupełnia całość podług ryciny.

Rycina Nr 19 przedstawia parasolkę z rączką drewnianą, zakrzywioną haczykowato, pokrytą jedwabnym materiałem w pasy brązowe i żółte.

Ryciny 20 i 21 przedstawiają dwie parasolki koronkowe w rodzaju „Pompadour“, na gładkich lakierowanych rączkach, z których każda metalową kółką zakończona. Parasolki te obciążone najpierw materyą, pokryte są od górnego końca na 22 centim. gładką koronką, poczem na 28 cent. wolantem koronkowym marszczonym, zakończonym u góry główką, u dołu grubym jedwabnym sznureczkiem, wszytym w obrębek. Falbanka z koronki 17 centim. szerokiej,

Nr 6. Suknia z szorstkiego materiału. Plecy. (Do ryc. 1).
Nr 7. Suknia dla starszych osób. Plecy. (Doryc. 22 w Bl. Nr 12).



Nr 8. Suknia z wełnianego materiału. Plecy. (Do r. 23 w Bl. Nr 12).

Nr 10. Sukienka dla panienki od 9 do 11 lat. Plecy. (Do ryc. 20 w Bl. Nr 12).



Nr 9. Suknia z wełnianego materiału i sukna. Plecy (Do ryc. 2).

Nr 11. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Plecy. (Do r. 21 w B. Nr 12).



Nr 12. Suknia z materiału gładkiego i w pasy. Opis odwr. str. tabl.

Parasolki.

Rycina Nr 17 do 22.

Rycina 17 przedstawia parasolkę z jedwabnego repsu koloru heliotropowego, pokrytą czarną szantilową koronką. Metalowe pręciki objęte są heliotropowego koloru repsem. Do zamykania parasolki prócz zwykłej maszynki, znajduje się kółko plecione, umocowane na jedwabnym sznureczku.

Parasolka ryciny 18 na drewnianej rzeźbionej rączce i mosiężnych pręcikach, pokryta jest dwoma kwadratowymi chustkami w japońskim guście. Każda z tych chustek 58 cent. dużych, obszyta jest szeroka na 17 cent. koronką koloru kremowego; jedna na drugiej ułożona jest w ten sposób, że każdy z czterech narożników jednej chu-



Nr 13. Suknia z pluszu i materiału w paski. Opis pier. str. tab.

Nr 14. Suknia z kaszmiru.

uzupełnia te parasolki podług ryciny. — Parasolka ryciny 22 na rzeźbionej żółtej ręczce, pokryta jest materiałem w pasy żółte i pasowe, ze szlakiem pasowym. Pomponiki pasowe na jedwabnych sznurach, zdobią rączkę tej parasolki, do mniej strojnych sukien zastosowaną.

Suknia z lekkiej wełny.

Rycina Nr 23.

Suknia z brązowej wełny, przybrana wyłogami z ciemniejszego pluszu, oraz kamizelką z materiału



Nr 15 i 16. Płaszcz wiosenny dla chłopczyka od 4 do 6 lat. Plecy i Przód.
Kroj i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 52—54.



Nr 17 do 22. Parasolki.

w paseczki podług ryciny.

Suknia z kraciastego beżu.

Rycina Nr 24.

Przybranie spódnicy stanowi falbana plisowana z materiału w szafirową i białą kratę i sutę upięcie odwinęte na przodzie podług ryciny. Przód sukni naszyty jest ukosami z aksamitu szafirowego i grubą pletnią szafirową z białym. Taką pletnią przybrany jest staniczek podług ryciny.

Przepisy gospodarskie

Mazurek z maku.

Maku łutów 24 zmieszać z funtem cukru mialkiego i utrzeć w donicy jak najstaranniej, migdałów słodkich obranych i utłuczonych z kilkoma gorzkiemi 8 łutów, dodać do tej massy i trzeć ciągle wbijając po jednym, jaj całych 10, a samych żółtek 6. Dodać dla zapachu cynamonu mialko utłuczonego i gwoździaków pół łyżeczki; trzeć tę massę 3 kwadranse, aby drugie tyle przybyło; wlać w formę masłem wysmarowaną i wstawić w lekki piec, ale nie za nadto wolny. Mazurek bardzo dobry upieczony w formie tortu i wodnym



Nr 23. Suknia z materiału „mouseline-de-laine“.

Nr 24. Suknia z kraciastego beżu

lukrem, albo pączowym ulukrowany: ubrany konfiturami, doskonale smakuje i kto nie wie, nie zgadnie z czego jest zrobiony.

Paluszki kruche do herbaty.

Funt maki przesianej zagnieść na stolnicy 4 żółtkami, 12 łutami dobrego masła, dwoma łyżkami cukru, dolewając tyle śmietanki, aby ciasto było twarda-

we. Ręką na stolnicy, to jest dłonią ukrecać okrągłe waleczki, które krajać podług miary w równe paluszki — układać na blachę i wstawić w dobrze ciepły piec, posmarować piórkiem jajkiem rozbitem z wodą. Gdy nabiorą koloru rumianego są wtedy kruche — wyjąć z pieca i układać w słoje szklane dla dłuższego przechowania. Można je po posmarowaniu jajkiem posypać odrobinę mialką solą, kto lubi.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Krupnik.
2. Pieczeń duszona z kartoflami.
3. Kalafior.
4. Kapłon z rożna.
5. Suflet pomarańczowy.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 12 Bluszczu.